

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1950 ROKU

NR. 7

TREŚĆ NUMERU: Jeszcze o pracy społecznej — *Janina Strzelecka*. Rok istnienia „Rodziny Policyjnej” — *Janina M. Zawalidroga* (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Moi niepoprawni (dok.) — *Wanda Grabińska*. Popiół i perły — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Ś. p. prof. dr. Benedykt Dybowski — *S. P. O. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. „Trzeba mieć to minimum!...” — *M. H. Szpyrkówna*. Zagadnienia bieżące — *mar.-mor.* Dobre odmiany warzyw — *Zofja Wróblewska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Zmierch krynoliny — *Well*. Dodatek: „Kultura Ciała”. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty” — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Tablica kroju.

## JESZCZE O PRACY SPOŁECZNEJ

Artykuł mój: „Odwrotna strona medalu” (Nr. 45 „Bluszczu” r. z.) wywołał obszerną polemikę. Jednych oburzył, innych przekonał, jeszcze innym dał materjał do rozważań na pokrewne tematy, słowem — spełnił swoją rolę, t. j. poruszył opinię nie na żarty, a o to przecież jedynie chodziło.

Ujęcie zagadnienia pracy społecznej jest u nas naogół tak jeszcze amatorskie, tak ciągle jeszcze błędzimy poomacku, szukając nowych dróg; to, co było i jak było, zupełnie już nie odpowiada potrzebom chwili, a to, co jest, wylania się dopiero z chaosu, więc próba jakiegoś konkretnego przedstawienia istniejącego stanu rzeczy jest tylko próbą, t. j. czemś niedoskonałym, i dlatego może być mowa o podejściu do sprawy z pewnych punktów widzenia.

Moja próba analizy uwypukliła pewne ujemne strony pracy społecznej; przyznając się do tego negatywizmu z całą otwartością, uważam bowiem, że rozplywanie się w zachwytach nad sumą pracy, dokonywanej bez społecznego wnikania w motywy, metody, a zwłaszcza w treść tej pracy, jest czemś nad wyraz powierzchownym i przeważnie szkodliwym.

Ilekróć zastanawiam się nad pracą społeczną, zawsze interesuje mnie najwięcej pytanie, jakie są tej pracy motywy i pobudki. O najprzeciętniejszych, jak również o tych na miarę Fidjasa, pisałam w poprzednim artykule.

Motyw „czynienia czegoś dla kogoś”, t. j. motyw miłości bliźniego, czy miłości Boga, poruszyła w swym ciekawym i mądrym artykule p. Helena Spoczyńska (Nr. 4 „Bluszczu”). Doceniając całkowicie ważność powyższego motywu, nie mogę jednak nie

zauważyć, że jest on tylko jednym z wielu i nie wystarczającym, i przytoczyłabym tu zdanie znakomitego pisarza amerykańskiego, który powiada, że czynić coś tylko w imię miłości bliźniego, jest argumentem — jeżeli chodzi o przekonanie ogółu — niewystarczającym.

Należy bezwarunkowo poruszać i moment *korzyści osobistej*, wypływającej z rozumnego pogodzenia dwóch pobudek, a raczej ze zrozumienia, że ideał dobra ogólnego jest czemś nierozzerwalnie zrośniętym z dobrem osobistym jednostki — słowem, że, mówiąc po amerykańsku, „opłaci” się szeroko i lojalnie swoje obywatelskie i społeczne obowiązki wypełniać.

I oto właśnie to ciągle nadużywanie pojęć „obywatelski”, „społeczny” etc. w stosunku do niezliczonego szeregu poczynań, nie mających właściwie nic wspólnego z istotą rzeczy, było przyczyną napisania mego poprzedniego artykułu, który wywołał taką żywą i silną reakcję.

Zgłębiam właśnie po raz, nie wiem, który, wszystko to, co tam napisałam, i, pomimo najszczerzej chęci, pomimo całkowitego braku ambicji, aby mieć *koniecznie* rację — nie mogę ani na chwilę zrozumieć, dlaczego kobiety „prawdziwie pracujące uczuły się nim dotknięte”; dlaczego inne tak poprostu zdefiniowały jego myśl przewodnią: „niema nic wstrętniejszego od kobiety-społeczniczki”, imputując mi pozatem rzucanie anatemy na wszelkie obchody i święta narodowe; dlaczego w artykule moim dopatrzono się hymnów pochwalnych na cześć t. zw. „kury domowej”, który to typ zaliczam do gatunku miernot, co poza swoim złobem nic innego nie widzą; te właśnie, nad

któremi biada p. L. Ch., (Nr. 4) że mąż owych, pełnią praw obdarzonych obywaterek, po przeczytaniu mego artykułu już „naprawdę” zabroni im „pracy społecznej”? Dlaczego właśnie pani M. tak bardzo się dziwi, że „utożsamiam pracę społeczną z zatrwajającą ilością świąt, uroczystości, akademij etc“?

Wreszcie, i to jest *clou* wszystkiego, jako ujęcie rezultatu moich rozważań: „przyczyna małej ilości kobiet, społecznie pracujących leży w tem, że zamiast przyuczać je do pracy społecznej, pokazuje się im odwrotną stronę medalu, próżne gadaniny niektórych komitetów, paniusie, biegające z posiedzenia na posiedzenie i t. d.

Przeczytawszy te wszystkie próby niezrozumienia mego artykułu, pomyślałam sobie, że trzeba dać *abc* tego, co w mojem zrozumieniu nazywam pracą społeczną i obywatelską, a co jej surogatem; udowodnić raz jeszcze, że zasada „właściwy człowiek na właściwym miejscu” nigdzie może tak, jak w pracy społecznej, nie nasuwa się z żelazną koniecznością; że biegania po zebraniach i same zebrania — to całkiem co innego, niż praca społeczna; udowodnić raz jeszcze, że jaknajszersza propaganda uwzględniania momentu społecznego w każdej pracy, zwłaszcza zawodowej, byłaby pierwszym krokiem do zlikwidowania tych wszystkich, po amatorsku prowadzonych placówek, które wegetują, a z racji niedołęstwa swych kierowników, stają się często złem koniecznym, przyczyną nieufności i zniechęcenia do pracy społecznej nie tylko wśród jednostek, ale i wśród myślącego ogółu.

A więc — *Abc*.

Czy u nas istnieje różniczkowanie pojęć, jeżeli chodzi o pracę społeczną, czy wogóle o uspołecznienie? Nie. Społecznica nazywa się zarówno pani, która na Gwiazdkę, Wielkanoc, czy kiedyindziej posyła zdarte buciki dziecinne, czy ubranka do ochronki; która sprzeda cztery bilety na dancinę na ociemniałych i uczestniczyć będzie w ośmiu zebraniach balowych (dwa wystarczyłyby zupełnie); społecznica nazywa się i taka kobieta, która, wydobywszy, dzięki olbrzymiemu napięciu woli i trudów, potrzebne fundusze, założy warsztaty dla owych inwalidów, powierzając kierownictwo odpowiednich działów uspołecznionym płatnym fachowcom.

Urządzenie balu pochłonie moc pieniędzy, pracy — dochód będzie nieproporcjonalnie mały. Wniosek: czy zamiast owej przerażającej krzątaniny nie lepiej zorganizować akcję, mającą na celu nie wyświechtaną filantropję, ale poruszenie opinii w kierunku nabywania tych rzeczy, które wykonywują ci inwalidzi? I tu właśnie płatna reklama, płatna agentka, a nie „honorowe” komitety, gospodynie etc...

Drugi przykład. Przedszkole. Freblanka, płatna niesłuchanie nisko (bo to przecież instytucja społeczna!). Wyzyskuje się jej czas i siły do ostatecznych granic. Jest pełna zapału i dobrej woli, ale siły od-

mawiają posłuszeństwa. Do pomocy przychodzi wprawdzie pani „z towarzystwa”, ale ta często nie ma pojęcia, jak i co trzeba robić. Przedszkole szwankuje. Dzieci ubywa, zwłaszcza tych, co mogą płacić. Czyż nie lepiej freblankę odpowiednio wynagrodzić, wziąć do pomocy fachowca, a owa pani niechże się przedtem sumiennie wykształci w dziedzinie zamierzonej pracy społecznej.

Nikt przecież nie żąda, aby wybitni płatni fachowcy pełnili służbę na każdym odcinku — za biedni i za młodzi państwowo na to jeszcze jesteśmy; ale, na miłość Boską! przez to *abc* pracy społecznej rozumiem właśnie przygotowanie się choćby sposobem samouctwa do owej pracy, bo ten straszliwy nasz dyletantyzm, wynikający wciąż jeszcze z utożsamiania pracy społecznej z pracą filantropijną, z owem „co łaska”, staje się zatrwajający!

I tu właśnie z niesmakiem myślę o tej „godzince” na tydzień na rzecz ogółu. Nie, proszę pań! To nie tak. Pracując zawodowo, mając dom i rodzinę, można przy mądrej organizacji śmiało i godzinę dziennie znaleźć; ale nie tracić jej na zebrania, których nie umie się prowadzić, lecz właśnie na to studjum społeczne, a potem na konkretną, produkcyjną robotę. Jeżeli tej godziny nie można wykroić, to ekwiwalentem tego podatku bezpośredniego może być podatek pośredni w postaci wyrobienia w sobie społecznego stosunku do pracy zawodowej, domowej, tak, do każdego nawet drobiazgu.

Ale jeżeli kobieta zaniedbuje ten najbliższy warsztat pracy, a jednocześnie owa „społeczna” praca jest bardzo wątpliwej i prymitywnej wartości, jeżeli jedno i drugie źle robi — to niema wogóle tematu do dyskusji; lecz jeżeli mądrze i poważnie swoje obowiązki domowe traktuje, czuje swą odpowiedzialność; to napewno znajdzie czas na pracę społeczną i pogodzi jedno z drugim. Jeżeli zaś tego nie potrafi — głosuje za kolejnością poczynać: najpierw ta wzorowo postawiona placówka pracy domowej, praca nad pogłębieniem swojego stosunku do świata ludzi i do świata wydarzeń.

I jeszcze jedno: do owego *abc* pracy społecznej zaliczam w pierwszym rzędzie uświadomienie sobie, że bez jednoczesnej pracy nad sposobami faktycznego otrzymania praw obywatelskich, bez udziału w sejmie, w samorządach, bez stanowisk urzędniczych etc., cała ta praca społeczna — to straszliwe zmaganie się z morzem trudności, braku funduszy, apatji i nawet arogancji. Trzeba sobie uświadomić, że dopóki nie zaczęną się liczyć z kobietami, jako reprezentantkami pewnej zbiorowej, zorganizowanej woli, nie ustanie owo marnowanie 75% czasu i sił na wydreptywanie subsydjów, protekcji etc. u możliwych tego świata na owe żłobki, przedszkola, przychodnie, kursy, szwalnie etc. To będzie zawsze traktowane, jako... zapomoga.

Wniosek: przygotowywanie do pracy społecznej

winno być poprzedzone przez najszersze pojęte uświadomienie obywatelskie, zarówno pod względem obowiązków wobec państwa, jak i pod względem nierealnych — niestety, wciąż jeszcze — praw kobiecych.

Jeżeli jedna z moich oponentek tę godzinę tygodniowo na owo uświadomienie przeznaczą i ma inteligentną, zdolną prelegentkę, która poruszać będzie wszystkie te tematy — od konieczności czytania pism poczynając, na debatach nad zmianą konstytucji skończywszy, i potrafi wywołać dyskusję — to zgoda. Jeżeli na zebraniach opieki nad dzieckiem moment wychowawczy tak będzie postawiony, że i te... dzieci „prywatne” coś na tem skorzystają — także zgoda; ale jeżeli na szumnych referatach z działu wytwórczości krajowej referentka będzie miała na sobie suknię z zagranicznego materiału i będzie roztaczała woń paryskich perfum, to myślę — szkoda na to czasu; jeżeli, mówiąc o obowiązkach obywatelskich, w domu, u siebie, wszyskiem, co się w Polsce dzieje, będzie pomiatać — odmawiam jej stanowczo prawa zabierania głosu. W pracy społecznej bowiem musi istnieć moment dobrego przykładu.

I to głównie miałam na myśli, pisząc o paniach, które „tyle dobrego robią”, dla swoich najbliższych czasu wcale nie mając. I myślę, że zamiast ręce łamać nad tem, „ile złego” wyrządził mój artykuł, należałoby, obok propagandy uświadomienia obywatelskiego, rozpocząć propagandę organizacji pracy — od oszczędzania czasu na zebraniach. Uważam zresztą, że poruszanie spraw i od strony podszewki — to jednak... społeczna robota, niewdzięczna, ale czasem ważniejsza od przysłowiowego przymykania oczu na wszystko.

A teraz, na zakończenie, jeszcze parę słów o owej „epidemii obchodów i akademij”, które nie ja utożsamiam z pracą społeczną, broń Boże! Już samo użycie słowa „epidemia” charakteryzuje chyba mój stosunek do tego rodzaju „społecznej” pracy. Obstać przy swoim, twierdząc, że zużycie energii, sił, pieniędzy na te wszystkie uroczystości nie pokrywa się w żadnym stosunku efektem wywołanego nastroju.

To są pewne, króciutkie wstrząsy. Nazajutrz następuje dzień powszedni. I znowu problem klęski mieszkaniowej, i znowu brak szkół, i znowu brak oświaty pozaszkolnej, i brak domów ludowych, i kulturalnych rozrywek na prowincji.

Myślę, że najwyższy czas, aby zacząć inaczej czczyć wszelkich naszych narodowych świętych i zasłużonych. Najwyższy czas, aby zacząć wychowywać obywatela nie przy pomocy owych pięknych fajerwerków nastroju, ale wyładowywać energję w kierunku świadczeń, bardziej poziomej, ale realnej natury.

Tyle — w odpowiedzi Pani, która tak pięknie pisze o znaczeniu wychowawczem obchodów na zapadłej prowincji. Nie chcąc pisać o „odwrotnej stronie medalu” i tej sprawie, ze smutkiem zaznaczam, że pewne sfery nie dorosły u nas do zrozumienia tego, co to jest obywatelskość i, niestety, właśnie w czasie tych świąt i obchodów w czarnych barwach malują terazniejszość na korzyść bezkrytycznie uwielbianej przeszłości.

No, teraz naprawdę kończę i sądzę, że wyjaśniłam dostatecznie, o jaką to odwrotną stronę medalu chodziło mi w moim artykule.

Janina Strzelecka,

JANINA M.

## ROK ISTNIENIA „RODZINY POLICYJNEJ”

Jakże rzadko zastanawiamy się nad tem, że spokój, którego zażywamy wraz z całym społeczeństwem, okupiony jest stałym wysiłkiem policjanta, który nie zna, co to święto, choćby najbardziej uroczyste, dla którego noc, gdy nań wypadnie kolej, jest okresem pracy równie dobrej, jak dzień, dla którego słońce, mróz, zawieja nie może stanowić powodu do odłożenia pracy na porę sposobniejszą. Cały ten łańcuch trudów służby policyjnej jest rzeczą tak powszednią, że przestaje zwracać naszą uwagę.

Nie przechodzi jednak nad tem do porządku życia, które sprawia, że policjant w tej twardej służbie traci zdrowie prędzej, niż przeciętny pracownik. Osoba policjanta jest zresztą w dodatku narażona na cią-

głe niebezpieczeństwo ze strony ludzi złej woli, kończące się nieraz kalectwem, albo i utratą życia, które wielu już policjantów złożyło w ofierze, walcząc ze złem. Wszak od czasu powstania polskiej służby bezpieczeństwa poległo dotychczas w walce z bandytami i wszelkiego rodzaju przestępcami 475 policjantów. Jeśli wziąć pod uwagę liczebność całej policji (okrągłe 30.000), to wypadnie, że poległo szesnastu na tyśiąc, by zapewnić spokój obywatelom naszego Państwa. Jeśli dodać do tego skromne uposażenie, to uzyskamy pełny obraz trudności, z jakimi walczyć musi policjant w swem życiu codziennem.

Wprawdzie Państwo, w miarę swej możności, stara się otoczyć opieką zdrowie policjanta, wspomóc



*Dzieci policjantów w przedszkolu.*

w razie nieszczęścia jego rodzinę, wszystko to jednak nie wystarcza. To też w policji więcej, niż gdziein-dziej, zrozumiana została doniosłość samopomocy. Któż zaś mógł lepiej odczuć tę potrzebę, jak nie małżonka głównego komendanta policji, p. pułkownikowa Jadwiga Maleszewska? Jej też trudem i energią założone zostały w lutym roku ubiegłego podwaliny pod Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna”, które postawiło sobie za zadanie: samopomoc wśród rodzin funkcjonariuszów policji, zarówno służby czynnej, jak i emerytowanych; opieka nad dzieckiem, przedszkola, internaty, kolonje, ośrodki zdrowia i t. p.; pomoc rodzinom po zmarłych czy poległych; opieka nad inwalidami policyjnymi, specjalne warsztaty pracy, domy inwalidów i t. p.; samopomoc wszelkiego innego rodzaju w postaci pośrednictwa pracy, poradni lekarskich, stołowni i t. p.; wytworzenie łączności ideowej oraz rozbudzenie współzycia kulturalnego i towarzyskiego wśród rodzin policyjnych, kluby, świetlice, biblioteki, czytelnie, odczyty, zebrania towarzyskie, zabawy, wycieczki, koncerty, przedstawienia amatorskie.

Zaledwie rok istnienia „Rodziny Policyjnej” nie upoważniał do oczekiwania rezultatów nadzwyczajnych. To jednak, co przez ten czas zostało zrobione, pomimo szeregu trudności i przeciwności, tak właściwych ząbkowaniu każdej instytucji, stanowi plan

ze wszech miar godny uwagi. Niechaj jednak dane konkretne mówią same za siebie.

Z pośród szeregu zadań, jakie ma za cel „Rodzina Policyjna”, to, które powinno stać na pierwszym planie, to które na ten pierwszy plan wysunął Marszałek Piłsudski, przedstawia się jaknajokazalej. Dowodem tego przedewszystkiem 12 założonych dotychczas przedszkoli oraz jedna świetlica dla dzieci starszych i drużyna harcerska. Opłaty w tych przedszkolach są, oczywiście, minimalne: np. w Warszawie za opłatą 5 zł. miesięcznie dzieci otrzymują kierunek i nadzór wychowawczy, materiał do robót ręcznych, wreszcie odżywki. Przedszkola mieszczą się przeważnie w lokalach wynajmowanych, jednak jedno z Kół „Rodziny Policyjnej”, mianowicie w Chełmie, zdobyło się na skromny, ale wystarczający na potrzeby przedszkola, budynek własny. Jest przytem rzeczą charakterystyczną, że dążenie do zakładania przedszkoli ujawniły, jak dotychczas, przedewszystkiem województwa wschodnie.

Już w 3 miesiące po pierwszym zebraniu organizacyjnym zarząd naczelny „Rodziny Policyjnej” zorganizował kolonje letnie, wysyłając, *całkowicie na swój koszt* do Ciechocinka 67 dzieci policjantów z różnych miejscowości kraju. Również i województwo wileńskie wysłało 60 swoich dzieci do pobliskiego Landwarowa na miesiąc zgorą, pobierając za ten czas

15 zł. od dziecka, przyczem jednak poczyniono mniej zamożnym rodzicom ulgi, a wdowy po policjantach uwolniono od opłaty całkowicie. Z początkiem lipca roku ubiegłego zarząd zorganizował w Wierzbnie pod Warszawą półkolonję dla 125 dzieci warszawskich policjantów; przez dwa miesiące codziennie przez pół dnia pozostawały dzieci na powietrzu pod dozorem 5-ch wychowawczyń, otrzymując drugie śniadani i obiady zupełnie bezpłatnie, bo nawet kosztu przejazdu tramwajami pokrywał Zarząd.

Dość żywy ruch uwydatnił się pod koniec roku ub. w kierunku urządzania dla dzieci „Gwiazdek”, których zorganizowano ogółem 51.

W dziedzinie specjalnej opieki nad zdrowiem dziecka wykazały się dotychczas systematyczną działalnością pow. warszawski i Bydgoszcz. Koło powiatu warszawskiego, nie będąc w stanie zorganizować narazie ośrodka własnego, stale płaci za 15 dzieci, które posyła do świetlicy postronnej na Anopolu. Koło Bydgoszcz na jeden miesiąc styczeń r. b. przewidziało 400 zł. na tran dla dzieci, 150 zł. na lekarstwa i 200 zł. na naświetlania; w stadjum projektu i to zupełnie konkretnego, bo asygnowano już na ten cel wystarczający fundusz, znajduje się kwestja założenia specjalnego gabinetu leczniczego z lampami kwarcowymi, urządzeniem do kąpieli elektrycznych i t. p.

W stosunku do starszych dotychczasowa działalność „Rodziny Policyjnej” przedstawia się z natury rzeczy skromniej. Jednak i tutaj są konkretne owoce pracy. A więc 6 świetlic, przy których mieszczą się również czytelnie pism i biblioteki i gdzie w określonych dniach odbywają się zebrania towarzyskie dla członków stowarzyszenia i ich rodzin. W liczbie tych świetlic znajduje się jeden klub kobiecy (Warszawa), gdzie co dwa tygodnie odbywają się zebrania klubowe, urozmaicone prelekcjami, wieczorkami wokalomuzycznymi i t. p. W Nowogródku, staraniem tamtejszej organizacji „Rodziny Policyjnej”, powstała letnia kawiarnia, jedyna zresztą na całe to miasto wojewódzkie. Dwie stołownie, założone w Nowogródku i Święcianach, stanowią duże udogodnienie dla miejscowych pracowników policji, nie prowadzących własnego gospodarstwa.

W zakresie robót ręcznych najefektowniejszą inicjatywę wykazało m. Bydgoszcz, które zorganizowało wystawę robót ręcznych, zakrojoną na taką skalę, że wywołała ona powszechne zainteresowanie całego miasta; godną podkreślenia inicjatywę wykazały pozatem Stryj i Święciany, które zorganizowały dla miejscowych członkiń specjalne kursy robót ręcznych.

Założone niedawno przez Zarząd województwa warszawskiego biuro pośrednictwa pracy dla członków „Rodziny Policyjnej” zamykałoby powyższy bilans, gdyby nie szereg innych najróżnorodniejszych przejawów działalności Stowarzyszenia, których



P. pułkownikowa Jadwiga Maleszewska, przewodnicząca Zarządu Naczelnego Stow. „Rodzina Policyjna”.

szczegółowe wyliczanie raczej znużyłoby Czytelniczki. Poprzestanę więc na zaznaczeniu, że poszczególne, miejscowe organizacje „Rodziny Policyjnej” zorganizowały cały szereg zebrań towarzyskich, wieczorków tanecznych, przedstawień teatralnych, wieczorów koncertowych, festynów, majówek, wycieczek, w tem kilka na Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu. Imprezy te przyczyniły się wielce do pobudzenia współżycia towarzyskiego wśród członkiń i ich rodzin, przyczyniając się pozatem do zasilenia funduszków poszczególnych Kół. Wreszcie, w miarę posiadanych środków, poszczególne Koła udzielały możliwie najdalej idącej pomocy członkom szczególnie potrzebującym, dając zapomogi bądź pieniężne, bądź w naturze, wysyłając poszczególne osoby na swój koszt do uzdrowisk, regulując wpisy za dzieci najuboższych, zaopatrując w podręczniki szkolne i t. p.

Oto bilans rocznej działalności „Rodziny Policyjnej”. Plon ten faktycznie jest nawet większy, to bowiem, co zostało powyżej wyszczególnione, nie jest wszystkiem, gdyż nie nadeszły jeszcze do zarządu naczelnego „Rodziny” sprawozdania od szeregu Kół miejscowych. Rok bieżący, drugi z kolei, zaznaczy się z pewnością większym rozpędem, a tem samem i bogatszymi rezultatami. To też ciężar gatunkowy następnego sprawozdania rocznego będzie, można mieć nadzieję, większy nie dwukrotnie, jakby to wypadło ze zwykłego pomnożenia przez dwa, ale — *wielokrotnie*.

HERMINJA NAGLEROWA

41)

## ZAWALIDROGA

(pamięć)

— Teatr? To nic nie wiesz? Nie miałem od lipca żadnej roli. Reżyser mnie niecierpi, szykanuje. Była dla mnie rola w ostatniej sztuce, która pewnie iść będzie przez całą zimę, ale on dał ją temu idjocie, temu sepleniącemu lalusiowi.

Białe, wielkie zęby Karola zgrzytały, jak ostrzone noże.

— Jest w tem robota Konrada, choć to ja postawiłem jego sztukę. Konrad mści się za Wandę. Wiesz przecież, że on do niej... Ale wolała mnie!

Uśmiechał się teraz, jak dziecko do anioła nad łóżkiem, i tak właśnie złożył ręce, że ze swetra wysunęły się chude, guzowate przeguby.

— Popatrz, jaka ona śliczna!

Znowu Adonis i Wanda przemknęli skrajem, a Janek śmiał się im prosto w twarz.

— Od paru tygodni mam chrypkę, siedzi mi w gardle, jak drzazga, albo ość. Lekarz teatralny zapisał mi syrop i wypilem już trzy flaszki. Nudne to i śmierdzące, a co najprzykrzejsze, nic nie pomaga. Radzą mi wyjechać do Otwocka, albo do Zakopanego, ale muszę przecież tu być. I właściwie jestem tylko zmęczony tem, co ze mną wyprawiają w teatrze.

W tłumie ślizgających mienił się sweter Wandy, jak flaga morska podczas burzy.

— A ty, co robisz? Na uniwersytecie?

Nie poczekał na odpowiedź Franka i znowu mówił o sobie:

— Byłbym już dziś magistrem praw, tak jak chciał ojciec. Nie mogę mu nawet poskarżyć się, że mi się nie wiedzie, miałby satysfakcję. Niech już tam przy swojej pasiece żywi żal do mnie. Przecież i tak bardzo kocham mojego staruszka. Plastry mi posyła, plastry na rany — uśmiechnął się do swojej gry słów. Ale wnet ściągnął wargi i schrypłym szeptem wyznawał: — Może to naprawdę gruźlica i ona tak tylko z litości...

Zerwał się odrazu.

— Poprowadzisz mnie, bo ja, wiesz, nie bardzo się ślizgam.

Nie mógł jednak ustać na łyżwach i zanim Franek zdążył podać mu rękę, zatańczył na miejscu, jak jarmarczny niedźwiedz, zachwiał się i upadł nawznak. Głowa uderzyła o lód, jak drewniane pudełko i tak nieruchomy, rozciągnięty przymknął natychmiast przestraszone oczy. W tej chwili nadbiegła służba i gdy dźwignęli długie ciało aktora, przechylił się im przez ręce głową nadół. Franek szedł za nimi, dopytując się natrętnie, czy zemdłał, czy potłukł się tak mocno? I nagle dostrzegł, że depce po małych plamach

krwi, wżłobionych w śnieg, jak borówki w piasek. Zakręcił się więc na łyżwach, aby odszukać Wandę. Ledwie ich mógł dopędzić, bo umykali przed nim ze śmiechem, jakgdyby szło o zabawę. Musiał zdaleka krzyczeć, żeby wreszcie przystanęli.

— To już koniec — powiedziała Wanda i odrazu zaczęła płakać.

Płakała tak do uśmiechu Karola, do jego próśb, żeby się nie martwiła, do jego gniewu, że przecież jeszcze nie umarł.

Przed bramą „Łobzowianki“ stała karetka pogotowia, a Karol na noszach wydawał się jeszcze dłuższy, jeszcze bardziej chudy. Tylko policzki jakgdyby zbladły, a usta, gdy leżał nawznak, szeroką szramą przecinały twarz prawie od ucha do ucha.

— Dziękuję ci — powiedział i dotknął lekko ręki Franka.

— To już koniec — powtórzył Franek w myśli za Wandą, ale nie mógł pojąć, dlaczego on właśnie widział koniec Karola, choć go ten dobry, gorący chłopiec tak mało obchodził. Prawie go nie znał, czasem tylko przecinał mu Karol drogę na ulicy, jeszcze jako starszy kolega w gimnazjum, a potem już, jako aktor. Franek miał jednak w tej chwili wrażenie, że coś wspólnie przeżył z Karolem i że coś z tych przeżyć miało dla niego osobiste znaczenie.

Tymczasem Adonis wyparskiwał wrażenia.

— Wanda mówiła mi, że z nim źle, ale nie chciał wyjechać bez Wandy, a ona nie mogła, bo teraz gra. Opowiadała mi, że jest zazdrosny i niecierpliwy. Mieszkają razem — wiesz? I dlatego jest ciągle jakby pod jego strażą.

Franek rozumiał, że litość Wandy była już również zniecierpliwiona i że Karol powinien teraz umrzeć. Życzył mu raczej śmierci, niż cierpienia. Trzeba przecież tak wiele siły, tak wiele zdrowia, żeby wytrzymać cierpienie. I nagle skrzepił się w sobie: — Ja to potrafię! — Cokolwiek go spotka złego w życiu — zniesie, udźwignie. I już się niczego nie należy obawiać, gdy się o tem wie. Trzeba może nawet wyzywać i zmierzyć się z temi siłami, które atakują chyłkiem, ażeby najpierw wzbudzić tchórzliwy lęk.

Ale, gdy Janek zapytał go znięta, czy teraz mieszka w domu, u matki, serce skurczyło się takim właśnie tchórzliwym lękiem: — Teraz mi powie, teraz już nie wytrzyma i powie mi coś o matce.

Janek wistocie nie wytrzymał, choć powiedział mu o tem bardzo ogólnie.

— Zabawiają się tak we czwórkę w najdroższych lokalach. Już ich znają w Warszawie. Pokażę ci go

kiedyś. Jest klientem naszego banku i bardzo go wysoko szacują.

— Teraz już wiem — pomyślał Franek i zdziwił się, że jednak o wiele ważniejsza była teraz dla niego sprawa Karola. I ona to, jak burzę niosąca chmura, przesłoniła w tej chwili wszystko. Nagle, jak przed burzą właśnie, przyciszył się w sobie i wtedy pojął, że — zrozumiał dolę drugiego człowieka. Mógł z nim i dla niego cierpieć, mógł o sobie nie pamiętać, a cierpieć tak samo, jak dla siebie. Nie, nie wyszedł mu naprzeciw ani miłością, ani przyjaźnią, nie zamienił z nim „darów przyjaźni“ na znak wzajemności i obowiązku odpłaty, ale dlatego właśnie przylgnął do niego nieskażonem — współczuciem.

## XL.

Drobny, natarczywy deszcz padał już od kilku dni, ale Franek prawie mieszkał na ulicy. Czasami „suszył ubranie“ w parnym hallu banku, czekając na Adonisa. Przeczytał już tu wszystkie czasopisma automobilowe i lotnicze, oraz giełdowe biuletyny, niezrozumiałe, jak szyfr; rozróżniał już agentów od kapitalistów, niemal poznawał, kto przyszedł w sprawie kredytu, a kto z obcą walutą. Jakieś wiekowe damy, ze zzieleniałymi woreczkami w ręku, spoglądały niechętnie, albo i groźnie, a niekiedy pachniała tu perfuma i powietrze dygotało od wrzawy zuchwałych głosów. Specjalnie jednak szumiały ukłony i szepty, gdy przychodziła Ola i wszyscy musieli patrzeć na jej śliczne nogi, świecące w popielatych pończochach, niby platyna. Odrazu wbiegała na pierwsze piętro do dyrektora, a przed bramą lśniła mokra, czarna limuzyna.

Franek, jakby poszarpany irytacją, podrywał się z klubowego fotelu i znowu wychodził na deszcz. Na Nowym Świecie witryny sklepowe barwiły się karnawałową dekoracją. Już tu był blask, i krzyk, i radość, a manekiny wdzięczyły się nagiemi ramionami, martwością różowych dekoltów.

Któregoś dnia powiedziała matka, że Sylwestra urządzi w domu i trzeba zaprosić Janka. Będzie małe „grono“, ale powinno być wesoło. Janek chichotał z uciechy: — To strategia Oli, która unika teraz dancingu!

W ten wieczór zobaczył Franek „tego pana“, któremu doprawdy nic nie można było zarzucić. Mówił mało, jakby nie interesując się nikim, jakgdyby wogóle nie chciał o niczem wiedzieć. Gdy Zofja powiedziała: — To mój syn — uśmiechnął się bezsensownie. Nazwisko miał Gonzaga i zwyczajne imię —

Kazimierz. Franek mógł mu przyjrzeć się swobodnie i niemal wyuczyć się go napamięć, bo właściwie niewiele w nim było szczegółów. Kilka gestów, odpowiednich do okoliczności, kilka słów, które brzmiały zawsze jednakowo, piękne, szare oczy, niepatrzące na nikogo, i wielki brylant na małym palcu — oto wszystko, czem się odznaczał. I taki właśnie nie przeszkadzał, nie budził ani wstrętu, ani sympatji.

Nastroj wieczoru odrazu kulminował w śmiechu i szastaniu się Oli, była jakby najwyższym tonem, najdłużej wytrzymywanem *cis*, i ona to właśnie, a nie matka, zajmowała się panem Kazimierzem. Szeptala mu coś śmiesznego do ucha, kładła na talerz góry majonezu, wywlekała z niego uśmiechy, niby fastrygę ze szwów. Miało się wrażenie, że najchętniej posadziłaby go sobie na kolana, bo był przecież mały i tak starannie uczesany, tak gładziutki, jak lalka.

Brat Adonisa zaflegmionym głosem opowiadał jakąś przygodę z podróży, zatrzymując się długo i nudnie na opisach miast, muzeów, kościołów; był zresztą zadowolony z siebie i dlatego dla wszystkich jednakowo uprzejmy. Janek patrzył na brata, jak na bóstwo, i wistocie przypominał Adolf chińskiego bożka. Takie miał skośne, napół senne oczy, taki nos nieco zgięty, tak samo w uśmiechu rozciągał bolesno-ironiczne wargi, a tłuste, blade policzki były martwe, jakby wyrzeżane z kości słoniowej.

W pokoju matki podano kawę i Ola cichutko grała kolędy. — „Dla nastroju“ — mówiła. Matka usiadła koło Kazimierza i wtedy dopiero przekonał się Franek, że ten pan potrafi się śmiać i rozmawiać. Robił to jakoś miło i z wdziękiem. Zato matka była nienaturalna i zanadto wyraźnie manifestowała swoją zalotność. Z początku Franek przypatrywał się z ciekawością, jak się to odbywa. Więc mrużenie oczu, pochylanie głowy, uśmieszek trochę drwiący, a trochę czuły, albo nagle rozwarcie powiek i bystre, mądre wpatrzenie się w źrenice Kazimierza. Celowość tych wszystkich min i gestów była niewątpliwa, i Franek musiał podziwiać to przebiegłe werbowanie matki. Żał mu tylko było, że tak się trudzi, tak bezustannie przeinacza. Ale gdy w pewnym momencie naiwnie, po dziewczęcemu spuściła powieki, zawstydzil się za nią. Poraz pierwszy w życiu musiał pomyśleć o matce, że jest niemądra, bo czyż nie wie, że się ośmiesza, czy nie pojmuje, że się poniża? Teraz razila go, jak źle grająca aktorka.

Adonis podszedł do Franka.

— Chodźmy do twojego pokoju. Nudno tu z nimi. Albo najlepiej chodźmy do jakiegoś lokalu na tańce.



## MOI NIEPOPRAWNI

Zabieram się znowu do czytania. Wpada mi w rękę koperta, adresowana do mnie dużym, niewprawnym pismem. Poznaje wysiłki mojej Stefki. Psychoza pośpiączkowa. Manja wielkości. Popęd do włóczęgostwa, spotęgowany fatalnymi warunkami środowiska. Stąd ciągle podawanie się pod inne nazwisko i wędrówki po kraju. Od czasu opieki sądowej wybitna poprawa. Początkowo zatrzymywana co parę dni, później co parę tygodni, wreszcie miesięcy, dziś prawie półtora roku Stefka nie stanęła w kolizji z kodeksem karnym; a co ważniejsze, za miesiąc kończy szkołę kroju i szycia. Czytam pośpiesznie.

„Najdroższa pani! Pewno pani się zdziwi, że ja piszę z Krakowa, ale ja koniecznie chciałam zobaczyć Kraków. Ja przepraszam panią, że ja tak wyjechałam bez pożegnania, ale nie miałam czasu się zapytać, ale jak wrócę, to już panią bardzo przeproszę. A teraz piszę, aby pani nie posądzała mię o nieczyste sumienie, gdyż go mam w jaknajlepszym stanie. Jeśli pani uważa, że nie zasłużyłam na dalsze jej względy, to bardzo mi przykro. Ale pokażę światu, że dam sobie sama radę i jeszcze ludzi zadziwię. A chociaż mam błędy, to przecie niema na świecie ludzi bez błędów, oprócz Boga i Pani. A co do Krakowa, to tu jest bardzo ładnie, i byłam na Wawelu, ale tylko z wierzchu, bo do środka mnie nie wpuścili“.

Mam jeszcze dwie stronicie do przeczytania tych zdumiewających wywodów, gdy wtem przyprowadzają mi aresztanta.

Janusz, znowu Janusz... I nic dziwnego...

Biorę do ręki poprzednie sprawy chłopca. Jest ich cztery. Pierwsza—kradzież, gdy miał lat 9, umorzona. Dwie, gdy miał lat 11. Wtedy dostał się pod opiekę Sądu. W trzeciej oskarżony był o współudział w bandzie z dorosłymi. Przerzucam wywiady kuratora: środowisko fatalne, matka histeryczka i morfinistka, ojciec 3 razy karany za oszustwo. Wniosek kuratora sądowego: — Chłopak jest ofiarą otoczenia; od ostatniej sprawy, w której miał karę zawieszoną, sprawuje się lepiej, ale środowisko niszczy wszelkie dobre wpływy. Niestety, starania o odebranie władzy rodzicielskiej spełzły na niczem.

— Ile ty masz lat, Janusz?

— Skończyłem piętnaście.

— Piętnaście... a więc jeszcze rok, i ta kara z przed dwóch lat byłaby ci darowana... Pamiętasz, że byłeś skazany na zakład poprawczy? I tę karę zawieszono ci na 3 lata. Dlaczegoż nie wytrwałeś? Czy wiesz, że teraz zawieszenie będzie musiało być cofnięte?

Twarz chłopca drga nerwowo. Nie płacze, ale

widzę, że powstrzymuje się od tego całą siłą. Marszczy czoło, wykrzywia się.

— Czy przyznajesz się do winy w tej sprawie?

— Tak.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Ja sam nie wiem. Ja z początku nie miałem zamiaru kraść. Chciałem tylko wejść do tego kina od tyłu. I dopiero, jak zobaczyłem, że w tym pokoju nikogo niema, i przypomniałem sobie, że mam przy sobie już tylko 50 groszy, to...

— Ile zabrałeś?

— Sto złotych.

— Oskarżają cię o 400...

— To nieprawda.

— Dlaczego jesteś niezameldowany?

— Bo nie mam mieszkania.

— Jaktó? przecież mieszkałeś z matką?

— Tak, ale mama miesiąc temu wyskoczyła oknem... umarła...

— Ojciec?

— Ojca to ja chwilowo nie mam.

— Jak to „chwilowo“? Gdzież on jest?

— Siedzi w więzieniu.

— Cóż ty robisz od miesiąca?

— A tak... Jak mnie wyrzucili z tego mieszkania, to sprzedałem handlarzowi wszystkie rzeczy ojca i miałem z czego żyć przez parę tygodni, a teraz to już nie mam.

— Dlaczego nie przyszedłeś do opiekuna sądowego zaraz po śmierci matki?

— A bo chciałem użyć trochę swobody...

Cóż mam uczynić z tym chłopcem? Muszę umieścić go prewencyjnie w więzieniu, bo nie mam schroniska dla nieletnich, które przez dziesięć lat egzystuje — na papierze...

Ogłaszam chłopcu decyzję.

Podnosi na mnie szkliste, rozgorączkowane oczy... pyta cicho:

— To ja... się tam spotkam z tatusiem?

— Nie! ty będziesz osobno — w oddziale dla dzieci, i tylko dwa dni, bo pojutrze będzie sprawa.

Z ciężkim sercem podpisuję nakaz przyjęcia.

I oto koniec godzin urzędowania. Kancelarja się rozchodzi. Zostaję sama. Podpisuję jeszcze to i owo; chcę już wychodzić, gdy wtem słyszę natarczywe dobijanie się do drzwi wejściowych.

— A cóż to znowu!!...

Wstaję, otwieram drzwi.

— Alina!

— Tak, to ja — odpowiada mała, podnosząc na mnie swoje wspaniałe oczy zroszonych niezabudek.



Jest w samej tylko sukience, przemoknięta, potargana. Drobną, szalenie chuda — czyniłaby wrażenie nędky i rozpaczy, gdyby nie jej śliczna twarzyczka, jasna, jakby prześwietlona, i pełna dziewczęcego uroku...

— Skądżeś się tu wzięła?

— Niech pani się na mnie nie gniewa! Ja tylko przyszłam panią prosić, żeby mnie pani oddała do jakiego zakładu.

— Alina, przecież ty jesteś w zakładzie...

— Nie, ja już nie jestem tam.

— Jakto, znowu uciekłaś? Uciekłaś z czwartego z rzędu zakładu? Mimo to, że cię wyrzucili z ochronny na Rybakach, że nie chcieli cię trzymać w Pruszkowie, żeś sama uciekła z Piaseczna, teraz znowu uciekłaś od sióstr! I co ty sobie wyobrażasz, że tak można cię będzie do nieskończoności przenosić z jednego zakładu do drugiego? I to na twoje piękne oczy, bo wiesz, że magistrat nie chce za ciebie płacić, masz ojca...

Alinka wysłuchuje mojej perory z miną niewinnie dręczonej ofiary. Ma przytem wyraz twarzy jednocześnie pokorny i zwycięski. Wreszcie przerywa mi słodko:

— Kiedy ja teraz nie ucieklam...

— Więc jakże?

— Tatuś mnie odebrał.

— Co?! i Matka-przełożona wydała cię bez mego pozwolenia?

— Tak, siostry dzwoniły do sądu, ale pani była zagranicą. A tatuś mówi, że to jego prawo mnie wziąć i wziął mnie, bo mu byłam potrzebna do bawienia tego dziecka, co mu się urodziło z tą nową mamusią, co teraz z tatusem mieszka.

.....Tatuś" Alinki... Jak cień, przechodzi mi przez myśl ta zdeprawowana twarz. Zawodowy złodziej, nożownik, awanturnik i pijak.

— No i cóż?

— No i z początku było dobrze, ale już na trzeci dzień tatuś zaczął mnie bić, bo się ta kobieta skarżyła, że odlatuję od dziecka na podwórko... A ja już się odzwyczaiłam od tego bicia i już nie mogłam wytrzymać. A teraz po obiedzie ojciec wrócił do domu pijany i strasznie zły, bo mu znowu w sądzie wlepili więzienie i zaczął mnie gonić po strychu z nożem w rękę, i krzyczał, że mi łeb utnie. To ja się zląłam, i wymknęłam mu się, i poleciałam do komisarjatu, i powiedziałam policjantowi, że ojciec chce mnie zabić... To policja poszła do domu, a ja się wypnęłam i przyleciałam tutaj... tak mię coś piknęło, może pani już wróciła z tej zagranicy...

Bezradnie patrzę na zegarek. Godzina 4 i pół. Dziś się już nic nie załatwi. Cóż ja zrobię z tą małą do jutra rana? Muszę ją odwieźć do jednej z pań-kuraterek, która w takich wypadkach bierze czasem dziewczyny na noc.

Wychodzimy z Aliną z sądu. Ogarnia mię ciemność rozmokłej ulicy. Zduszone światła lamp z trudem przebijają gęstą mgłę. Trzymam Alinę mocno za rękę i wypatruję tramwaju. Wkoło nas przepływa gwar ulicy. Zachrypnięte głosy gazeciarzy wykrzykują pisma wieczorne. Jakiś pędrak podbiega do mnie.

— Hrabino, kurjerka?

Nie czuвам się do tytułu, ale biorę gazetę.

Malec znika we mgle.

— Proszę pani... proszę pani — skubie mię za rękaw Alina.

— Co takiego?

— Ja go poznałam.

— Kogo?

— Tego chłopaka. On jest z naszej ulicy.

— No to co?

— Nic... tylko on też uciekł... z poprawniaka.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

## POPIÓŁ I PERŁY\*)

Bywało, że żywi wskrzeszali umarłych, ale i umarli mogą wskrzeszać żywych. Albowiem nieograniczona jest władza wspomnienia o tych, co odeszli, nad tymi, co zostali. Ten odwrócony stosunek śmierci do życia, zatrzaśniętego wieka grobowego do otwartej na przestrzał areny walk życiowych — to jeszcze jeden cud z dziedziny „świętych obcowania”, pojedyncze ogniwo w tym łańcuchu zjawisk, po którym zwolna przesuwa się prom ludzkich westchnień, tęsknot i ukochań od jednego do drugiego brzegu...

Ostatni zbiorek poezji Illakowiczówny: „Popiół i perły” — wprowadza nas w sam ośrodek tej mi-

stycznej przemiany i wymiany dusz, z której wytryska źródło najczystszej natchnienia. Oto nad duszą „zastygłą od czarnej biedy”, przywaloną symbolicznym kamieniem grobowym, który „serce złamał”, staje duch matki umarłej, jak Demeter nad ziarnem przegniłym i sprawia cud:

„Wywołuje jedwabiem, rysuje złotem i welną  
czystość kwiatową, szczęśliwość zupełną,  
przez jedwab i złoto, przez podobieństwo,  
maluje Dom Nasz, maluje moje dzieciństwo”.

\*) Kazimiera Illakowiczówna: „Popiół i perły”. — Warszawa 1950. Nakładem księgarni F. Hośicka.

Jesteśmy świadkami powrotu w świat dzieciństwa, który, dzięki wstecznej ewokacji zjawisk, połączonej zawsze z najwyższym napięciem strun uczuciowych, staje się triumfalnym wkroczeniem w świat poetyckiej zjawy. To, co było niegdyś faktem przelotnym, objawem wtórnym, niezanotowanym narazie w świadomości, ale głęboko zapadłym w bezwiedne pokłady duszy, teraz pod wpływem skondensowanej tęsknoty wypływa na powierzchnię wyobraźni w postaci wyolbrzymionej, urasta do rozmiarów poetyckiego faktu, wypełniającego bez reszty horyzont uczuciowy.

„Coraz węższy mój widnokrąg się stawa,  
coraz zaciska się pierścien”.

Sierp księżycą nad modrzewiem, kwitnący marchewnik, czerwony blask zachodu na śnieżnej sukience, pies szczekający w bramie; ślady bosych stóp na zgrabionej dróżce, stangret, myjący koła, nawet dreszcz po plecach od warkoczy ciasno splecionych, pęd naprzelaj przez płoty, rowy, las i dyrwan, ból palców do krwi pokłutych gałęzmi berberysu—a zatem nietylko najpospolitsze, najczęściej przytaczane wrażenia wzrokowe i słuchowe, ale subtelne, nieuchwytnie niemal, a tak bardzo charakterystyczne dla danego momentu drgnienia zmysłów mięśniowych, przeżycia uczulonego, jak seismograf, naskórka.

Obfitość codziennych drobiazgów i szczegółów, które czas zamienił w próchno, świecące blaskiem wspomnienia, — przesłania sobą świat namiętnych uniesień, do których instynktownie rwie się dynamiczna natura poetki. Zamiast twarzy kochanka, oblicze matki odbija woda w czarodziejskiej studni wspomnienia:

„Pragnę czarów wielce podniosłych,  
jak każdy, co jest dorosły,  
chcę wysokich lotów i wzruszeń  
dla dojrzałej, niesytej duszy.  
Lecz gdy tylko w złocisty kubek  
biorę trochę czarów na próbę  
— żadne inne ku mnie nie cieką,  
prócz dzieciństwa miodu i mleka”.

Poetka o niczem innym nie może myśleć, o niczem innym pisać. Jest w niewoli czaru. Magja przeszłości zagarnęła ją pod swoją władzę. Napróżno rzeczywistość przeczy zjawom, napróżno szydzi samokrytycyzm.

„Mówi do mnie mój dzień powszedni,  
mówi noc, od dnia samotniejsza:  
„O czym bajesz! Co to znów za jedni?  
Jakże krąg twoich widzeń się zmniejsza!”.

Indywidualność poetki ulega rozdzieleniu. Jeden człowiek w niej, bezwiedny sługa natchnienia tonie w wizjach poetyckich bez zastrzeżeń; drugi—zjadliwy sceptyk „usta wąskie zaciska i skrzeczy: „Próchno... Próchno...”. Wśród zmagania się tych dwojga dusza

opada z sił, „aż wszystkie Tamte piękności na pomoc wstają z mogiły”.

Zwycięża bezpośredniość odczucia w bezpośredniości wypowiedzenia się. Rzecz tak rzadka u Hłakowiczówny, w której twórczości wszystkie dramaty „rozgrywiają się za ścianą”. Poetka nie lubi się udzielać czytelnikom, nie chce się z nim spoufalać. Od swoich osobistych przeżyć trzyma go zdaleka — na dystans przeżycia artystycznego.

Ale gdy przyszły do głosu wspomnienia dzieciństwa, wszelkie granice zostały przekroczone, kordony zerwane. Poetka musiała zrezygnować z dotychczasowej taktyki twórczej, która mogła stać się konwensansem, umowną postawą wobec czytelnika. Ale i ta rezygnacja, to uleganie musowi ma wszystkie pozory dumnego zakazu.

„Ten las, ten ogród, ten dom,  
te porosłe cząbrem manowce  
— to nie są wiersze dla was,  
to nie są wiersze dla obcych!”.

Stajemy wobec negatywnego programu, który jednocześnie jest nawskroś pozytywnym. „Dla swoich — nie dla obcych”. Odtracony staje się przygarniętym. Ten, kto — „zrozumie”, uznany być musi za swego. „Ten, kto żywcem spamiętał, tylko ten się może zachwycać”.

Poetka myli się, zacieśniając koło swego świadomego rzeczy audytorjum do szczupłego grona najbliższych, którzy wraz z nią te wspomnienia przeżyli, ewentualnie do szerszego, ale jednak wyłącznego kręgu kresowców, ludzi wspólnych z nią ukochań, tej samej ziemi, tego samego nieba. Myli się, bo nie wie, że budzi w czytelniku, nawet „obcym”, poza biernym współczuciem i niezależnie od niego, element nawskroś aktywny: kongenjalność wrażeń. Taka jest moc sugestywna „Domu naszego” i „Malowanek wiejskich”, że czytelnik przechodzi niejako osobiście wszystkie etapy tej wędrówki po krainie pamięci, w nabożnej kontemplacji zatrzymuje się przed każdą z tych stacyj tęsknoty za niepowrotnem — współżyje i współtworzy z poetką.

Dodajmy, że to zbliżenie, to zespolenie się, ten zestrój uczuć według jednego kamertonu mógł się dokonać łatwiej na podłożu dostępnych dla wszystkich wspomnień dzieciństwa, niż na tle górnych i chmurnych wzlotów „Płaczącego ptaka”. Przy całym podziwieniu, jaki człowiek przeciętny może mieć dla wzniosłości, działa w nim jednak silnie pewien instynkt równouprawnienia, który każe mu w jednostce wyjątkowej szukać pokrewnych sobie upodobań, smutków i radości. Dopiero po dokonaniu takiego odkrycia zostaje zawarty pakt wieczystego braterstwa pomiędzy czytelnikiem a poetką, który z szarej masy drobnych zjawisk codziennego życia umiał wykrzesać, jak Mojżesz uderzeniem laski w skałę, niewysychający źródło prawdziwej poezji.

Już w „Rymach dziecięcych” Hłakowiczówna ujawniła skłonność do wydobywania momentu piękna z rzeczy samej w sobie, bez jej sublimowania, bez egzaltacji i patosu. Ale to, co tam było jeszcze próbą, tu już jest skończonym arcydziełem pewnej siebie ręki. Hłakowiczówna jest mistrzem poetyckiego skrótu: w czterowierszu umie zawrzeć cały dramat z ekspozycją, konfliktem i katastrofą. Takimi były jej ostatnie liryki o dynamicznym rdzeniu skondensowanej akcji. Mieliliśmy tam do czynienia z perspektywicznym skrótem faktów, dziejących się w czasie, — tu mamy skrót rzeczy, które się stały w przestrzeni i w niej zakrzepły. Czas dla nich nie istnieje: nie powrócą, ale i nie przeminą nigdy. Są to zatem koncepcje nawskroś malarskie. Chwycenie na gorącym uczynku chwili, wydobywanie z jej oblicza całkowitego wyrazu.

Weźmy pierwszą z brzegu „malowanek”: „Poziomki”.

„Dojrzewają jagody,  
komary lecą od wody,  
leczą chmura, zbite w kupę,  
leczą węzeł, leczą słupem,  
zwijają się wiankami, wiankami,  
czekają na dziewczęta z dzbankami”.

W tym obrazie nie widać ani poziomek, ani dziewcząt, ani dzbanków. Są tylko chmury komarów, czekających na łup, i jest cały uproszczony do ostateczności nastrój jagodobrania. Pachnie lasem, poziomkami, dusznym upałem, choć ani lasu, ani poziomek w tym obrazku niema.

Weźmy inny urywek: „Niedziela”.

„Ganek — zlekka wilgotny od rosy,  
ślady stóp na zgrabionem boscie.  
Jeszcze wczśnie. Stangret myje koła.  
Dzwony biją dalekiego kościoła.  
Już Barbara z Józją śpieszą na piechotę:  
już ich niema; już znikły za płotem.  
A ja mam sukienkę różową, ślicznie krochmaloną,  
i cieszę się, że święto i że już dzwoniło”.

Jeżeli wyrazem poprzedniego obrazka było oczekiwanie, to tego jest niezaprzeczenie radość. Motywy tej radości są rozmaite, ale wszystkie jednak proste i dziecinne; stąd wieloplanowość fragmentów obrazka i jednolitość ogólnego nastroju, którego szczytowym punktem jest „różowa, ślicznie krochmalona sukienka”.

\*

W jednym z poprzednio wydanych cyklów poetka konstatuje fakt nieznamości siebie samej: „Jeszcze nie wszystko we mnie jest dla mnie znajome, żyję w przedsionku, jak na słonecznym podwórzu”. Obecny tom jest niejako przestąpieniem progu tego wnętrza. Przez „popiół i perły” poetka wkracza w dom duszy własnej, dotąd dla niej samej zamknięty. Jest to pod względem prawdy uczuciowej i doskonałości kunsztu poetyckiego jeden z najbardziej trium-

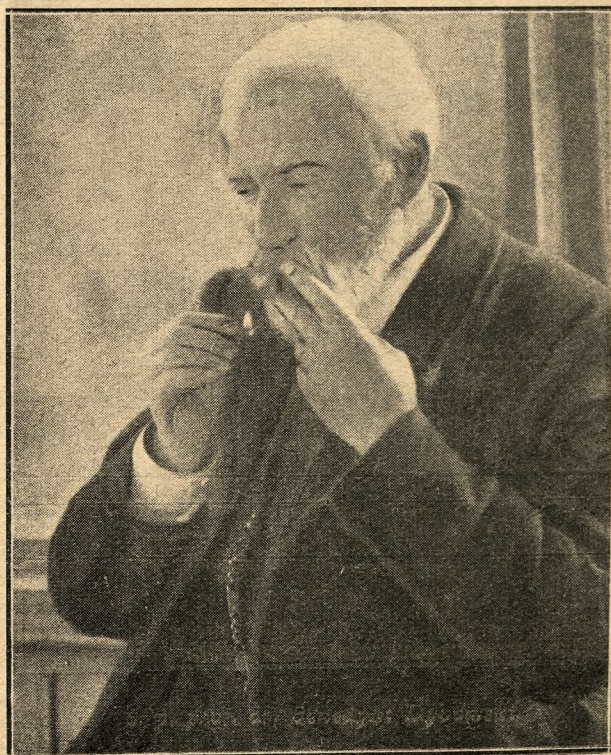
falnych pochodów w literaturze współczesnej: ten mały krok wstecz ileż otwiera głębi!

Ukazanie się tego tomiku, tak mocno wrośniętego w ziemię kresową, zbiegło się z faktem odznaczenia poetki nagrodą miasta Wilna. Nikt chyba bardziej nie zasłużył na nią od tej, która ponad wszystkie drogi życia ukochała trakt, poczwórnymi rzędami brzoź sadzony „od Dźwińska do Mołodeczna, od Mołodeczna do Wilna”, a obok męczeńskiej postaci ks. Budkiewicza aureolą poezji otoczyła głowy „nieznanych świętych Łotwy i Litwy”.

## Ś. P. PROF. DR. BENEDYKT DYBOWSKI

Z pośród Nestorów naszej wiedzy ubyla znów postać niepospolita, łącząca w sobie rzadkie zdolności badacza z podziwu godną energją i niezłomnością charakteru. Człowiekiem tym był ś. p. prof. Dybowski, jeden z tych wyjątkowych Polaków, których zasługi dla nauki mają znaczenie wszechświatowe. Kolejy jego życia są tak ciekawe i bogate, że warto je choć pokrótce przypomnieć.

Prof. Benedykt Dybowski urodził się w Adamczynie na Białejrusi, gimnazjum ukończył w Mińsku, studia uniwersyteckie odbywał w Dorpacie, Wrocławiu i Berlinie. W r. 1862 mianowany został profesorem zoologii w Szkole Głównej w Warszawie. W gabinecie zoologicznym, mieszczącym się w bocznym skrzydle pałacu Kazimierowskiego, urzędował



Ś. p. prof. dr. Benedykt Dybowski.

sekretarjat Rządu Narodowego, za wiedzą i zgodą Dybowskiego, który wprawdzie wyraźnej funkcji w Rządzie nie miał, ale całą duszą był oddany sprawie powstania. Uwięziono go wraz z innymi w r. 1864 i za udowodnioną „pomoc w powstaniu” skazano na śmierć.

Dzięki wstawiennictwu uczonych zagranicznych na drodze dyplomatycznej zamieniono mu karę śmierci na zesłanie na Syberję do ciężkich robót na lat 12. Wraz z Marjanem Dubieckim i innymi działaczami powstaniowymi przybył do katorgi; przebywał zrazu w Siwakowej nad Ingodą, potem zwiedził szczegółowo Kameczatkę, jezioro Bajkał, rzekę Amur i Sachalin. Los zaprowadził go do okolic, mało zbadanych pod względem przyrodniczym.

Drugą podróż do Syberji odbył już nie w charakterze zesłańca, ale uczonego zoologa. Zebrał wówczas mnóstwo nieznanymi okazów fauny, czynił pomiary i spostrzeżenia przyrodnicze, gromadził zbiory etnograficzne i układał słowniki narzeczy syberyjskich. Czerpał z podziwu godnym zapałem z przebojnych, a tak mało wykorzystanych źródeł przyrody i pierwotnej kultury autochtonów.

W r. 1883 senat akademicki ofiarował mu katedrę zoologii na uniwersytecie lwowskim. Petersburskie towarzystwo geograficzne uczciło go złotym medalem, Polska Akademia Umiejętności zamianowała go swym członkiem czynnym.

Poza rozprawami naukowymi, drukowanymi w „Kosmosie”, „Wszchświecie” i w niemieckich czasopismach naukowych, ogłaszał niejednokrotnie wspomnienia z powstania styczniowego.

Był gorącym zwolennikiem ruchu antyalkoholicznego, czego dał wyraz w licznych artykułach propagandowych. Od r. 1906 przeszedł na emeryturę; dożył lat sędziwych, otoczony powszechną czcią współziomków.

Cześć jego pamięci.

S. P. O.

## Z TEATRÓW

TEATR NOWY.

G. K. Chesterton: „Magja” — komedia fantastyczna w 5 aktach z prologiem. Przekład Wilama Horzycy. Reżyserja Ryszarda Ordyńskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie, niż mędrca szkiełko i oko”.... Po stu latach to hasło romantyzmu powraca do nas, przetopione w tyglu anglosaskiej spekulacji myślowej, jako ideowy wykładnik chertertonowskiej filozofji. Wiara w cuda? Kto wie, czy nie od niej zaczyna się każde nawrócenie, które samo przez się jest najgłębszym cudem. Podobno Chesterton pisał „Magję”, będąc jeszcze protestantem; tem znamiennejsza byłaby u niego ta tęsknota do nadprzyrodzoności, to fizyczne wprost łaknienie cudu, tak często spotykane u ludzi, których religja cuda neguje.

Jest coś prymitywnego, coś rozbijającego w naiwnem

podejściu do zjawisk nadprzyrodzonych tego dużego dziecka, któremu balast dialektyki nie zdołał zwichnąć skrzydeł poety. Psychologja neofity? Zapewne.

My, katolicy z dziada pradziada, a przytem — uderzmy się w piersi — rasowo zabobonni słowianie, dziedzicznie obarczeni wspomnieniami romantycznymi (przecież u nas niema rodziny bez spacerującej prababki z portretu, zegara, bijącego w porę i nie w porę, trzaskających szaf, gasnących świec i t. p.), możebyśmy nie tak silnie zareagowali na fakt, że portret zakłótył się na ścianie, krzesło samo się przewróciło, a światło w ogrodzie z czerwonego zrobiło się niebieskie. Tembardziej, że to wszystko stało się w obecności i za sprawą kuglarza, który jest czemś więcej, niż żonglerem: jest „wtajemniczonym”, rodzajem czarnoksiężnika, znawcą sił magicznych, czyli poprostu, niezbadanych jeszcze naukowo, a jednak bezsprzecznie istniejących sił przyrody. Tylko, co ma w tem wszystkim do roboty djabel? poco ten aparat faustowsko-twardowski, kiedy Chrystus pouczał o wierze, która przenosi góry, a bynajmniej tego nie czyni za interwencją mocy piekielnych.

Ale mniejsza o to. Chestertonowi potrzebny był djabel, żeby magji czarnej przeciwstawić magję białą: magję czystej, odradzającej grzesznika, miłości. Uosobieniem tego cudu, o ileż godniejszego podziwu, niż przewracające się stolki i gasnące światła, — jest Patrycja, poetycki i zoptymizowany odpowiednik Dzieweczki z „Romantyczności” Mickiewiczowskiej. Podczas gdy tamta ożywia marę umarłego kochanka, ta budzi życie w człowieku, zabitym przez los. Sen Dzieweczki kończy się tragicznem przebudzeniem. Bajka Patrycji i Kuglarza kończy się szczęśliwą rzeczywistością.

„Dziewczyna czuje, — odpowiadam skromnie, — a gawiedź wierzy głęboko”. — Tak było u Mickiewicza. U Chestertona rolę „wierzącej” gawiedzi odgrywa jeden tylko ogłupiały Książę, utrzymujący, że wszystko jest możliwe, i że każda rzecz ma swoje dwie strony. Zato „mędrców ze szkiełkiem” w ciągu stu lat namnożyło się bez liku. Więc jest i doktor-empiryk, i pastor-sceptyk, i brutalny materialista, którego zjawisko, niedające się naukowo wytłumaczyć, przyprawia niemal o obłęd. Ale ponieważ jesteśmy w świecie magji, więc Kuglarz leczy go... pospolitym cudem miłosiernego kłamstwa, czyniąc niejako zadość grzechowi pychy i zawziętości, które były pobudką jego sądów prawdziwych.

Tym aktem skrucy i rezygnacji zamyka się magiczne kolo poezji, jakim otoczył nas Chesterton na parę godzin scenicznego spektaklu. Trzeba jednak zaznaczyć, że skala poetyczna tego niezwykłego utworu nie jest jednolita. Prolog i akt pierwszy są nieskazitelnymi kryształami natchnienia. Ale w następnych aktach przejrzystość tego kryształu zamąca się pod technieniem gorących dysertacyj. Pada nań osad dialektyki, gasząc i tłumiąc promieniującą zeń sugestywną władzę czystego piękna. Ten czar zdmuchnięty już nigdy nie wróci, tak, jak nie wrócił czar Nieznajomego, który dla Patrycji był czarodziejem, dla jej otoczenia zwykłym kuglarzem, dla siebie — człowiekiem wiedzającym i dlatego bezbrzeżnie smutnym.

Głębię tego smutku i płynącą zeń tajemniczość z subtelną intuicją oddał Osterwa. Jego urok osobisty owiał całą sztukę mgłą romantycznej melancholji. Doskonałym księciem był Staszkowski. Mistrzowska symbioza degeneracji z pobłażliwym marzycielstwem. Smosarska była nieco skrupowana rolę, przekraczając granice jej możliwości. Tylko w scenie miłosnego wyznania odnalazła siebie: tkliwą i prostą Mary Dogan. Na próżno jednak szukaliśmy w niej zaczarowanej księżniczki z bajki; w drugim akcie zamiast obrażonej dumy i zranionego uczucia dała tylko sżywny chłód.

Pozostali artyści dostrzegli się doskonale do całości. Dzięki reżyserji Ordyńskiego, poraz pierwszy od dłuższego czasu byliśmy świadkami przedstawienia, które miało swój styl i to styl jednolity. Drabik dekoracjami swemi rywalizował z czarodziejstwem Nieznajomego.

S. P. O.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

LAUREATKA WILNA.

Ustanowione przez wileńską radę miejską jury nagrody literackiej Wilna, im. Adama Mickiewicza, przyznało tę nagrodę w kwocie 5 tysięcy zł. na rok bieżący Kazimierzowi Hlakowiczowi za całokształt twórczości poetyckiej.

DOSKONAŁA INICJATYWA.

Piotrków obchodził bardzo uroczyście dwudziestopięcioletnie strajku szkolnego młodzieży w 1905 r., tego od lat wielu pierwszego protestu czynnego przeciw rządowi zabornym. Dzienniki piotrkowskie podały listę ówczesnych uczniów i uczennic gimnazjów, którzy brali udział w strajku, odbyły się zebrania i akademie.

Podczas jednego z tych zebrań, z inicjatywy p. Malangiewicza powstał projekt upamiętnienia rocznicy przez zebranie funduszy na budowę gmachu szkolnego dla gimnazjum żeńskiego. Z pierwszych składek wpłynęło od razu 6 tysięcy zł., ponadto kilkadziesiąt osób zadeklarowało wpłacanie na ten cel po 100 zł. rocznie, przez cały czas pobytu ich dziecka w szkole. Energicznie podjętej akcji życzymy jaknajpomyślniejszych rezultatów.

MISS EUROPA.

W Paryżu odbyły się wybory Miss Europy. Z pomiędzy kandydatek różnych krajów wyróżniono, jako najpiękniejsze, Miss Polonię, p. Zofję Batycką ze Lwowa, i Miss Grecję, p. Alicję Diplorades. Między temi dwiema pięknościami decydowało ostatecznie jury paryskie, złożone, tak, jak i w każdym kraju, wybierającym miejscową piękność, z przedstawicieli literatury i sztuki. W rezultacie Miss Europą została p. Diplorados, przedstawiająca skończony typ klasycznej piękności greckiej.



Miss Grecja, obrana na tegoroczną Miss Europe (p. Alicja Diplorades).

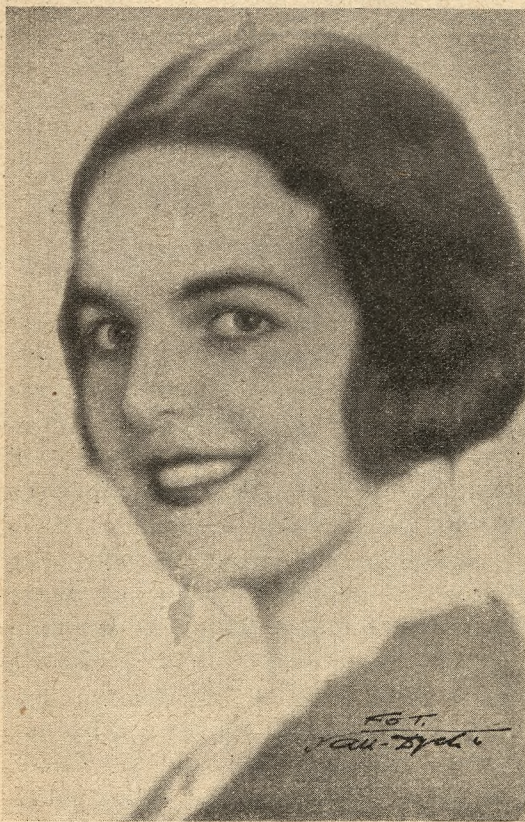
AMERYKANKA W INSTYTUCIE RADOWYM.

W tych dniach zwiedziła budowę Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie pani Vernon-Kellog, znana literatka, żona Sekretarza Generalnego Akademii nauk w Washingtonie. Pani Kellog, przyjaciółka i wielbicielka Marji Skłodowskiej-Curie, była jedną z najczynniejszych członkiń „Komitetu Curie” w Ameryce, który zebrał niedawno 50.000 dol. na fundusz radowy dla Warszawy.

Pani Vernon-Kellog, oprowadzana przez panie: Zofję Wróblewską, małżonkę b. posła Rzeczypospolitej w Washingtonie, oraz przez p. dr. B. Dłuską, członka Komitetu Budowy, zwiedziła jaknajdokładniej wszystkie budynki Instytutu Radowego, wyrażając szczerze uznanie i podziw dla rozplanowania go i wykonanej już pracy, przyczem oświadczyła, że nikt z biorących udział w akcji amerykańskiej nie wyobrażał sobie, że Instytut jest tak wszechstronnie i celowo obmyślony i tak bardzo zaawansowany. Nadto p. Vernon-Kellog obiecała zdać dokładną relację o tem, co widziała, członkom „Komitetu Curie” w Ameryce, w pierwszym zaś rządzie Prezydentowi Hooverowi.

WYSTAWA NOWYCH GAŁĘZI HODOWLANYCH.

W Bydgoszczy odbyła się trzydniowa wystawa drobiu, gołębi i zwierząt futerkowych. Wobec konieczności intensywnego rozwoju hodowli w naszych gospodarstwach, hodowla zwierząt futerkowych i drobiu jest bardzo ważna. Wystawa bydgoska zgromadziła przeszło 600 rasowych okazów. Samych królików 120; przesłane były również gołębie różnych ras i przeznaczeń: pocztowe, luksusowe i t. p. Okazale przedstawiał się też dział drobiu, dalej króliki futerkowe, pizmowce, lisy, oraz ciekawe okazy psów rasowych.



Miss Polonia (p. Zofja Batycka).

## „TRZEBA MIEĆ TO MINIMUM!...“

Nie mam pojęcia, jak będzie Polska wyglądała za kilkadziesiąt lat. Albo się z bogacimy i, zburzywszy wszystko, cośmy dotąd nabudowali z domów t. zw. urzędniczych i innej wspólnoty, postawimy nowe gmachy, podobne do ludzkich mieszkań po wielkich stolicach, albo...

Albo dobrze, że człowiek nie będzie widział, jeśli tego nie zrobimy, boby się niepotrzebnie zdenerwował.

Przedziwne są koleje życia w zestawieniu z jego pięknymi teorjami. Kiedy jakikolwiek gmach zaczyna się budować, plany jego są piękne. Wygląda na papierze imponująco, a w liczbach też nienajgorzej: to znaczy, że ma się powód do pomyślenia:

— Nie dziwnego, że wybuduje się coś przyzwoitego... Za takie pieniądze!...

Poczem następuje bolesne obdzieranie teorji z jej płatków, aż nie zostanie nic, tylko smętny szkielet rzeczywistości. Ze szkieletu tego, zwanego kooperatywą, a zwłaszcza, jeżeli jest, nie daj Boże, urzędniczą, czy oficerską — po paru niedługich latach zaczyna opadać z lekka tylko przyklepane ciało w postaci cegieł i tynków, i dom świeci ranami, jak Hiob, na kupie śmieci, jeszcze nieuprzątniętych od czasu budowania. Tak, że gruzy jego upadku łączą się, by się wyrazić pompatycznie, z pieluszką jego niemowlęstwa.

Podziwiam w tem głęboko jedną rzecz.

Gdzie jest kobieta, która będzie w tym domu rządziła i mieszkała, podczas kiedy jej mężczyzna buduje ten dom (i podłe)?

Jestem wciąż i nagminnie — bo wszyscy teraz budują, zapewne właśnie z braku kredytów — świadkiem roztrząsań kooperatywistycznych. Ludzie wyciągają z pod serca swoje bolesne tysiące — i nieraz grube, i nieraz naprawdę krwawo zapracowane tysiące — i wkładają w kooperatywę. Bo wszyscy mówią, że będzie jeszcze drożej, niż jest, z mieszkaniami, więc trzeba się jakoś zabezpieczyć. Słusznie.

I oto zaczynają się zabezpieczać: budują. Naprzód mówią, potem zrzeszają się, potem — trzeba zbierać pieniądze... i wszystko się rozpada. Potem gdzieś, ktoś, skądś wydostaje pożyczkę i znowu zbiera ludzi. Po najdłuższych cierpieniach ksiądz święci fundamenta i następuje radosne oblewanie nowej placówki i szczęśliwej inicjatywy. A potem sprawa zasypia na długi, długi czas, u samych, że tak powiem, podstaw: za ledwie fundamenty przyszłej wspianiałości wyglądają z dołu, zasypanego gruzem i skopanego, jak kretowisko, za parkanem, który go oddziela od ulicy.

Ale to nic nie szkodzi: dobrze i tak. Ludzie, przechodzący obok parkanu, stają, patrzą z szacunkiem i powątpiewaniem i kiwają głowami.

— Kooperatywa. No, no! Może im się i uda.

Im się — albo udaje, albo nie. Jest ktoś, kto chodzi za temi sprawami — dobrze! Przez starszą kancelistkę takiego a takiego biura można się dostać do młodszego referenta, a naczelnik odpowiedniego wydziału już o tem wtedy swego czasu się niezawodnie dowie. Co innego, że będzie to za ledwie dziecięca zabawka, młody pierwiosnek w stosunku do dalszych kwiatków, jakie trzeba przebyć, żeby dotrzeć do pożyczki. No, ale przypuściwszy, że starsza kancelistka wszędzie jest życzliwa i że wszystko się dzieje, jak w modelu organizacji pracy: ostatecznie, dom się buduje.

I oto — jak?

A tak właśnie, że niewiadomo, poco go właściwie budowano, skoro jest ani trochę nie bardziej, a wprost przeciwnie — mniej wygodny od zwykłego mieszkania, nie zdumiewając nikogo bynajmniej taniością? Bo policzmy.

Przeciętna — nieduża! — rodzina inteligentka potrzebuje pięciopokojowego mieszkania: prawda? Salon, jadalnia, gabinet i dwa pokoje dla chłopców i dziewcząt, stanowiących rodzinę. Ewentualnie — inny rozkład tychże walorów. Może — pokój dla nauczycielki, czy korepetytora; może — jeden odnajęty, żeby jakoś dołatać budżet. Może ludzi jest więcej, i ktoś sypia w salonie, a ktoś i w jadalni. Zapomnieliśmy już o tem, że, właściwie — jest to niedopuszczalne, że właściwie tak być nie powinno, bo jest to i nieestetyczne, i niehigieniczne, i poprostu — niewygodnie. Ten uczeń, czy pensjonarka, którzy sypiają tu, ubierają się gdzieindziej, uczyć się muszą w trzecim pokoju, a rzeczy mają porozdzielane po wszystkich kątach, bo własnego im brak: to są męczennicy naszych warunków mieszkaniowych. Dzisiejsza szkoła jest twardym orzechem i wymaga naprawdę pewnych warunków dla pracy. Każdy, kto nie ma spokoju i samotności podczas pracy, lub kiedy chce wypocząć, nerwowo musi czuć się źle.

A z kuchnią?

Jest to cichy dramat gospodarski. Jest kuchnia wszędzie: ale mało co jest przy niej, coby pani domu umożliwiło i osłodziło gospodarowanie, zwłaszcza, o ile musi być oszczędne. Pomijam brak łazienek, tak pospolity w Warszawie (żeby nie mówić o Polsce). Ale ile mieszkań u nas ma przyzwoite spiżarnie przy kuchni, gdzieby można trzymać zapasy, a gdzieby nie było raz — wilgotno, raz — mroźno, raz — gorąco? Gdzie jest piwnica, odpowiednia do przechowywania jarzyn? Gdzie strych, nie podlegający dramatowi międzymieszkaniowym z kluczem, który stanowi kamień obrazu między Marysiami? Gdzie pawlacz na niepotrzebne rzeczy i alkowa dla służącej, żeby nie czesała się przy stole, na którym sieka mięso? Zaiste, Hamletowskie pytania, na które jest tylko jedna odpowiedź, dla Polski bynajmniej niepocieszająca:

— Zagranicą.

Tak! Prawda. Zagranicą wszystko to jest. Tam człowiek, który buduje sobie, czy komuś mieszkanie, myśli o tem, aby zapewnić maksimum wygody bądź temu komuś, bądź sobie. Obmyślił dawno już pewne żelazne podstawy wygody, ale wciąż je uzupełnia. Mieszkanko dwupokojowe zagranicą ma tyle wygod technicznych, że starczy za dużo większe u nas. Nie mamy zmysłu wnętrza! Niechby mi któryś z architektów powiedział kategorycznie i rzeczowo, jak sobie wyobraża gospodarowanie i kulturalne urządzenie w mieszkaniu bez łazienki i bez schowków, z jednym wejściem dla gości i dla węglarza, bez centralnego ogrzewania dziś, kiedy to inne pociąga tysiączne koszty i kłopoty przy drożyznie służby i konieczności oszczędzania czasu? Nie odpowie, bo nie wie: idzie poprostu drogą najmniejszego oporu, stawiając kosztorys najniższy, bo na to najprędzej ludzie się zgodzą: byle jakoś było, byle ten dach nad głową! I o jakimkolwiek kulturalnem podwyższeniu dotychczasowego poziomu, na który przecież wciąż narzekamy — niema mowy. Wprost przeciwnie!...

Mieszkania własne — za wyjątkiem bardzo nielicznych kooperatyw, i to właśnie kierowanych przez kobietę, która wniosła w nie istotnie szerszy dech i nową inicjatywę: te własne mieszkania nie są lepsze od dawnych, a nieraz — nierównie gorsze. Moda pojedynczych schodów, z konieczności przyrzekająca moc przykrości i brudu (węgiel, psy, koty, robotnicy, którzy tędy z konieczności będą musieli chodzić dla napraw z wapnem, czy gliną, i inne niespodzianki) — wprowadzona została w nowe mieszkania, właśnie jako dodatek oszczędnościowy, dotąd niepraktykowany: i boję się, że fatalny, mimo, że drzwi jest dwoje. Niema mowy o urządzeniach pralni i prasowni w suterenach po amerykańsku dla każdego domu, co przecieź byłoby w kooperatywie szalonym ułatwieniem dla mieszkańców. Ogrzewanie centralne uważane jest za zbytek. Okna w pewnej ozdobnej formie, t. zw. weneckie, są bojkotowane, bo — zimno. Szaf ściennych niema, bo — cienko. Schówków i spiżarni niema, bo — metry są drogie. A pokoi jest mało, bo — wpłaca się zgóry zaliczkę na każdy, więc to stanowi wielką różnicę. Komorne i tak od pięciopokojowego mieszkania ma z czasem wynosić około czterystu złotych. Na miły Bóg! I to ma być ułatwienie? I te koszarowe, oblatujące po paru latach z tynku, brzydkie domy mają tworzyć przyszłą architekturę polską?!

Nie wiem! Ale gdybym była magistratem, to zaprosiłabym do komisji budowlanej... Krukowskiego z Qui-pro-quo z jego piosenką, w której dowodzi, że „trzeba mieć to minimum!“. Naprawdę! Trzeba mieć to minimum celowości i solidności w poczynaniach, które mają tworzyć twarz „jutra“! Trzeba... zabronić partactwa budowlanego, które będzie reprezentowało jutro architekturę odrodzonej Polski! I przecieź mamy kobiety-architektki: niech one zabiorą głos!

M. H. Szpyrkówna.

## ZAGADNIENIA BIEŻĄCE

Życie współczesne, stojące przed ogromem zmian i przesunięć, musi się zatrzymać nad jedną z najważniejszych spraw, dotychczas niezauważoną i uważaną za błahą. Ktoby się był zastanawiał, jak to tam jest z temi sprawami domowymi, przy których, oczywiście, krzątały się niezauważone i prawie że niebrane na serjo kobiety, z ich małemi, drobnemi kłopotami, zajęciami i troskami!? Oczywiście, kłopoty i troski nie były wielkie, ale wykonywana praca w sumie okazała się bardzo ważną, bo decydującą o egzystencji podwaliny każdego społeczeństwa — domu.

Sprawa ta okazała się dopiero znaczną i ważną, gdy niezauważona pracownica tego domu — z powodów natury moralnej, albo też materialnej — musiała, czy też dobrowolnie zapragnęła usunąć z domu tego swoją obecność, czyli niezauważoną dotąd pracę.

Jak ważną i znaczną jest ta sprawa — dowodem najlepszym spory, zawikłania, niepokoje, wprost zagadnienie domowego ogniska, w którym nagle zabrakło głównego motoru. Zagadnienie to może i musi być rozwiązane przez samą kobietę. Nie jest łatwe, ale także nie jest beznadziejne, wymaga tylko zmian.

Trzeba znaleźć dobrą i fachową zastępczynię pani domu, zajętej czem innym, krótko mówiąc — rutynowaną służącą. Na służącą, która niezego nie umie i dopiero się uczy swego fachu, jak to najeczęściej bywa, może sobie pozwolić jedynie pani domu, nie mająca pracy zawodowej.

My, pracujące zawodowo, jeśli chcemy, aby dom nasz się nie rozpadł, musimy go dobrze zorganizować, na swoje miejsce dać dobre, fachowe ręce. Sprawa jest trudna, ale nie beznadziejna. Trudność leży w wynalezieniu odpowiedniej osoby (szkół, szkół i jeszcze raz szkół dla służby domowej!). Gdy ją już znajdziemy i gdy jest wykwalifikowana, zyskamy tylko, dając jej maximum swobody. Wszakże i w tym dziale są zdolności i talenty, podczas gdy niejedna pani domu boryka się z zarządaniem swego gospodarstwa z bardzo mizernym rezultatem!

Więc nowe pokolenie zarządczyń, czy gospodyń domu, inteligentnych i fachowych, oto najbardziej zalegająca i pilna sprawa. Tam zaś, gdzie środki materialne nie pozwalają na takie zastępstwo, część trudów przy domowym gospodarstwie musi ponieść równomiernie mężczyzna.

Takie postawienie sprawy jest konieczne, leży to również w rękach kobiety, wychowującej synów, a więc mogącej pokierować i wyjaśnić wiele spraw w duchu nowoczesnym.

Bardzo łatwo jest założyć rodzinę, trzeba jednak zastanowić się, że rodzina — to instytucja, wymagająca odpowiednich warunków i wzajemnego wypełniania wziętych na siebie obowiązków. Mężczyzna musi być przygotowany, że w tej instytucji i dla niego jest praca, od której nie wolno mu się uchylać, pod groźbą rozpadnięcia się rodziny. Bo jeśli kobieta pracuje fachowo, a więc zarabia, przedewszystkiem nie może, tak, jak i mężczyzna, być w domu obecna, a potem tak, jak i jemu, należy się jej po pracy wypoczynek, a nie nowa ciężka praca domowa!

Gdy tak uczciwie to zagadnienie zrewidujemy, mniej będzie rozwodów i dramatów życiowych, które w wielu bardzo wypadkach powoduje krzywda, wyrządzona egoizmem jednej strony. Gdy dodamy do tego macierzyństwo kobiety, przekonamy się, że stro-

na uprzywilejowaną jest zawsze mężczyzna, i że już czas najwyższy po ludzku, humanitarnie obie strony ustosunkować.

Więc zagadnienie ogniska domowego — to stosunek do niego nie jednej, ale dwóch stron, które winny wnieść w tę instytucję jednakowy kapitał — oczywiście, w granicach fizycznych możliwości. Bo trud i ogrom pracy, włożonej przez kobietę w wydanie na świat i hodowanie potomstwa, czyni mężczyznę wieczystym, nigdy i przez nic nie wypłacalnym dłużnikiem.

Wracając do praktycznej strony wewnętrznego, czyli domowego zagadnienia, nie możemy przejść obojętnie obok wiadomości, że w Niemczech parlament zajął się zagadnieniem służby domowej (widocznie wszędzie aktualnym). Demokratyczne Niemcy debatują nad powrotem ksiązek służbowych, oraz nad wypoczynkiem służby.

Obie kwestje są ważne: ta pierwsza domaga się zdecydowanego i szybkiego rozwiązania i na naszym także gruncie. Modne obecnie luźne świstki, t. zw. „świadcstwa”, są często fikcyjne i nie mają żadnego znaczenia. Czasby już skończyć doprawdy z tą niebezpieczną zabawą! Wpuszczając do domu niepewne osobistości, oddajemy tem samem nasz dobytek w ręce filutów i złodziei, jak to potwierdzają coraz częściej notowane w tej dziedzinie wypadki.

Oddając pod opiekę służby cały nasz dorobek, mamy chyba prawo domagać się jakiegś, choćby teoretycznej, gwarancji. Pracownicy innych działów składają nieraz duże kaucje, my zaś zdajemy się dosłownie na łaskę i przypadek. Powrócenie ksiązek służbowych — to konieczność, jakiej należy się od władz domagać, to ochrona naszego dobytku i zabezpieczenie naszego domu przed mętami społecznymi.

Sprawa wypoczynku służby domowej da się pomyślnie rozwiązać przy obustronnej dobrej woli, ale pod warunkiem: praca domowa, jak każda inna, musi być zorganizowana — na wszystko miejsce i na wszystko czas, w przeciwieństwie do latania, gadania, przeważającego w wielu domach kręcenia się w kółko.

Pani domu powinna pracę zorganizować, służąca sumiennie wypełniać, za to może otrzymać raz w tygodniu kilka godzin dla siebie. Oczywiście, w dzień powszedni, by mogła załatwić swoje sprawunki i interesy. To jest ludzkie i z tem trzeba się liczyć.

Każda mądra pani domu tak pokieruje sprawą, aby nie wywołać niezadowolenia, bo to się odbija na domu. Dom, jak żołądek, powinien funkcjonować sprawnie, jeśli nie chcemy wywołać intoksykacji całego, związanego z nim organizmu — rodziny.

Ciekawem i charakterystycznym zjawiskiem dla czasów obecnych jest niechęć młodych dziewcząt do pracy w charakterze służących. Gdy weźmiemy pod uwagę, że służąca przy pełnem utrzymaniu otrzymuje mniej więcej od 25 do 60 złotych miesięcznie, to dojdziemy do wniosku, że mało pracujących kobiet ma tak dobre uposażenie! Czy to da się porównać z otrzymującą 200 złotych urzędniczką!? Ta ostatnia za te pieniądze musi zapłacić mieszkanie, życie i ubrać się, jest więc w nędzy; natomiast służąca żyje w dobrobycie, dobrze odżywiana, bez trosk, pensję całą spożytkowując na ubranie. W stosunku zaś do szwaczek i robotnic znów jest uprzywilejowana, zważywszy okropne warunki mieszkaniowe i nędzne odżywianie się tych kobiet.

Posada służącej jest więc naogół znakomita, a przecież... jakże trudno o znośną służącą!

W zjawisku tem należy szukać głębszych powodów. Mianowicie: służba — to jednakże niewola. W całodziennej krzątaninie domowej trudno jest o ustalenie godzin pracy, która musiałaby być bardzo wydajna i skrupulatnie wypełniana, aby mogła się dać ująć w szemat. A dzisiejsza kobieta w każdej sferze wyrwa się z tyłowiekowej niewoli — domu. Z tem trzeba się liczyć, nie można nad tem przejść do porządku dziennego, w tej dziedzinie nastęrcza się konieczność gruntownych reform, o których wspominałam na innem miejscu i do których powrócę. Na teraz jednak i w ramach naszych możliwości powinniśmy starać się o zastępczynie możliwie wykwalifikowane i czynić wszystko, aby z naszej strony dać im maximum, żądając jednocześnie pracy starannej, uczciwej i fachowej.

Kwestja służby domowej — to zagadnienie wielkiej doniosłości — może być rozwiązana szczęśliwie w obecnych warunkach tylko w wypadkach indywidualnych. Zagadnienie to, urastając do ważności kwestji społecznej, woła o gruntowną i zasadniczą reformę: małe gospodarstwo domowe nie kalkuluje się, jako drogie, niepraktyczne i pochłaniające zbyt wiele sił kobiecych. Musi być, że tak powiem, zmechanizowane, jak produkcja fabryczna, która zawładnęła rynkiem światowym, jako tania, praktyczna i szybka.  
mar.-mor.



## DOBRE ODMIANY WARZYW

Dobroć i jakość warzyw zależy w dużym stopniu od doboru odmian. Można przy starannem pielęgnowaniu i dobrem nawożeniu mieć warzyw dużo, ale często bardzo jakość ich pozostawia wiele do życzenia.

Bywając na wsi, słyszałam nieraz narzekania na to, lub inne warzywko, że jest „niesmaczne”, „lykowane”, „mało delikatne” i t. p. A przecież to tak łatwo temu zaradzić; trzeba tylko zawczasu sięgnąć spokojnie nad cennikiem jakiegś firmy nasiennej warszawskiej, lwowskiej, czy innej i wybrać odmiany warzyw — te właśnie, dobre.

Ale tu nowy kłopot. Cenniki podają tyle odmian każdego gatunku warzyw i przy każdej prawie widzimy przymiotniki: „b. dobry”, „delikatny”, „wczesny”, „rodzi obficie” i t. p. Niektóre firmy podają cały szereg nowości, głośno je reklamując. I nieraz pozostajemy w kłopotcie, które właściwie odmiany wybrać — zwłaszcza, że nasiona są naogół drogie i tak dużą wyrwę robią w naszym budżecie.

Chciałabym więc w artykule niniejszym podać kilka uwag o odmianach najważniejszych naszych warzyw, które mogę polecić, gdyż w długoletniej swej praktyce ogrodniczej sprawdziłam ich dobroć i jakość.

Przedewszystkiem ostrzegam szanowne czytelniczki przed wyborem tych właśnie „nowości” głośno reklamowanych, gdyż są to odmiany zupełnie jeszcze niewypróbowane i często b. zawodne.

Nasiona należy też kupować u firm pewnych,



które mają już wyrobioną opinię co do jakości swych nasion. Nigdy nie należy — jak to spotykałam — kupować nasion u przekupek na targach, lub w drobnych handelkach nasiennych, sklepach kolonjalnych i składach aptecznych, gdyż najczęściej dostaniemy nasiona stare, a więc źle kiełkujące, a następnie nigdy nie otrzymamy tej odmiany, o którą nam właściwie chodzi.

Po tym krótkim wstępie przechodzę do poszczególnych warzyw.

**Cebula.** Najwięcej hodowaną u nas w kraju i najlepszym cieszącą się popytem jest odmiana „Żytawska”. Jest to cebula średniej wielkości, żółta, prawie kulista, doskonale przechowująca się przez zimę. Polecenia godne są też odmiany, wyhodowane przez ogrodników podwarszawskich przez odpowiednią selekcję odmiany żytawskiej, a mianowicie: „Wolska” i „Warszawska”. Cebule te są jeszcze bardziej kuliste, doskonale, równo dojrzewają, dając towar, co do jakości i trwałości, pierwszorzędną. Te trzy odmiany cebul nadają się wyłącznie do użytku kuchennego.

Spotykana na Kresach odmiana „kartoflanka” jest to cebula drobna, żółta, którą b. trudno sprzedać, gdyż daje materiał niehandlowy. Na użytek domowy doskonała, krucha, słodkawa, delikatna i b. niewybredna w przechowaniu. Do użytku letniego, zwłaszcza dla amatorów świeżej cebuli, polecam odmiany białe, które, niestety, b. źle się przechowują przez zimę. Wyjątek stanowi „Holenderska biała”, której też tylko pewien procent dotrwać może do wiosny.

Odmiany te są przeważnie pochodzenia południowego i w naszych firmach nasiennych niezawsze można je dostać. Jeśliby komuś specjalnie chodziło o te odmiany, radziłabym sprowadzić nasiona z Francji, choćby ze znanej firmy Vilmorin-Andrieux w Paryżu, która b. starannie załatwia zlecenia. Należność po otrzymaniu nasion wpłacamy na konto czekowe te same firmy w P. K. O. w Warszawie, w naszej walucie. Rachunek i czek na P. K. O. przysyła zwykle firma ta wraz z nasionami.

Odmiany cebul białych delikatnych są następujące: „Cebula biała wczesna — królowa”, Biała paryska”, „Holenderska biała” i „De Barletta” — ta ostatnia nadaje się specjalnie do marynowania w occie, gdyż ma niewielkie, ładne, okrągłe cebulki.

**Pory** — najczęściej służą, jako dodatek do włoszczyzny. Jednak, umiejętnie przyrządzone, mogą dać zimą wcale smaczną jarzynę. Duże, długie łodygi porów, „wybielone”, to znaczy przez odpowiednie przykrycie pozbawione zieleni, odgotowane i podane z bułeczką z masłem, mogą zimą zastępować szparagi.

Do tego celu dobra jest odmiana: pory „karańska zimowa” — długie.

**Buraczki ćwikłowe.** Jeżeli chodzi o materiał handlowy, to na pierwsze miejsce wysuwa się odmiana „Egipskie ćwikłowe” — buraczki płaskie, intensywnie zabarwione, niewielkie (przy odpowiedniej hodowli), bez białych prążków.

Do prywatnego użytku dobre są też buraczki „okrągłe ciemno czerwone” — kuliste, niewielkie, b. mocno czerwone.

**Marchew.** Jako odmiana handlowa, najlepsza jest odmiana „Nantejska”, kształtu walcowatego, tępo zakończona (kształt palca). Odmiana ta na rynku większych miast cieszy się najlepszym popytem.

Dla siebie jednak radziłabym siać odmianę „karańską”. Jest to marchew b. delikatna, o korzeniu

niewielkim cylindrycznym, tępo zakończonym (paluszkowatym), gładkim, zupełnie pozbawionym serca (rdzeń biegnący wzdłuż całego korzenia). Odmianę tę można siać gęsto, gdyż liście ma b. małe i nieliczne. Wymaga ziemi dobrze doprawionej i dobrej kultury mechanicznej. Jest to odmiana luksusowa, nie nadająca się do dużej handlowej produkcji, ale zato jej smak, słodycz, i delikatność przewyższają inne odmiany.

Jako odmiany inspektowe (można je siać do gruntu na wczesną marchewkę) polecam odm. „paryską” i „duwicką”. Pierwsza wcześniejsza, b. krótka, prawie okrągła, druga o korzeniu w kształcie stożka — późniejsza, ale wydatniejsza.

**Pietruszka.** Jako odmiana handlowa, polecenia godna jest „pietruszka cukrowa”, średnio długa, gładka, b. pokupna. Znacznie lepiej natomiast przechowuje się „pietruszka holenderska” inaczej „bardowicka”, która pozostawiona w gruncie znosi doskonale zimę, jest jednak trudna w uprawie, gdyż z powodu długości i kruchości korzenia wymaga głęboko uprawionej gleby.

**Selery** — jest to warzywo, używane najczęściej tylko jako dodatek do włoszczyzny — czasem do niektórych sałatek — więc tu odmiana nie gra tak dużej roli. Polecam odmianę „Praskie olbrzymie”.

**Kalafjory.** — Jest to jedno z warzyw, na które najczęściej słyszałam narzekania, że się nie udaje. A jedną z b. ważnych przyczyn w tym przypadku jest właśnie dobroć odmiany. Nasiona kalafjorów są przeważnie sprowadzane z zagranicy, gdyż u nas, w naszym klimacie, roślina ta tylko w wyjątkowo sprzyjających warunkach może zawiązać nasiona. Ponieważ są to nasiona drogie, nieuczciwi sprzedawcy często mieszają je ze starymi, już niezdatnymi do kiełkowania, a nawet zdarzają się wypadki zafalszowania nasion kalafjorów nasionami rzepaku lub brukwi. Dlatego, kupując nasiona kalafjorów, nigdy nie trzeba brać najtańszych. Przekonałam się już niejednokrotnie, że właśnie to jest przyczyną zawodów.

Nasiona dobrych odmian rzeczywiście kosztują stosunkowo drogo — ale rezultat otrzymany opłaci nam ten wydatek. Z odmian, które mogę polecić, są:

„Śnieżna kula” — kalafjory stosunkowo nieduże, ale wczesne, ładnie wykształcające białe, ściśle róże.

„Duńskie eksportowe”, odporne na suszę i stosunkowo mało wymagające; dają róże duże, zwięzłe, białe, delikatne w smaku. Odmianę tę można siać kilka razy i, stopniowo je wysadzając do gruntu, mieć dobre kalafjory do samych mrozów.

„Erfurckie Nr. I i Nr. II” — są to niewielkie kalafjory b. wczesne, nadające się, jak „Nr. I”, do hodowli inspektowej.

Odmiany te są jednak dość wymagające, tak co do gruntu, jak i co do pielęgnacji. Potrzebują starannego i systematycznego podlewania, gdyż są bardzo wrażliwe na suszę. (dok. nast.) Zofja Wróblewska.

Najlepsze **samopoczucie** zapewniają

**opaski miesięczne dla pań „SIGI”**

Nie ścierają skóry. Nie wymagają prania, są giętkie, zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.

Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach.

Generalne przedstawicielstwo: HUGO FRISCHLER w BIELSKU, ul. Krasińskiego 13.

233



## CYNADERKI CIEŁĘCE W MUSZELKACH.

Dwie bardzo duże, lub trzy mniejsze cynaderki i ćwierć kilo cielęciny od forszlaku czy mostka ugotować z włoszczyzną, jak na rosół. Smak ten użyć na jakąkolwiek zupę zabielaną: ogórkową, cytrynową, pomidorową. Cielęciny i cynaderki pokrajać w dosyć dużą kostkę, wraz z tłuszczem, otaczającym cynaderki, który jest bardzo smaczny. Dziesięć deka pieczarek oczyścić na sucho z ziemi i piasku, poczem dopiero starannie umyć szczoteczką. Jeśli je włożymy z ziemią do wody, zawsze trochę ziemi w nich zostanie. Pieczarki pokrajać w cienkie płatki i podusić w łyżce masła, osolić do smaku.

Muszelki (osiem do dwunastu, zależnie od ich wielkości) wysmarować masłem, wysypać bułeczką, ułożyć na spód cielęciny, na to cynaderki z tłuszczem, posypać pieczarkami, skropić masłem, w którym się dusiły. Dwie łyżki mąki zasmażyć na biało z dwiema sporemi łyżkami masła, rozprowadzić litrem przegotowanego, dobrego mleka, lub niegęstej śmietanki, zagotować, osolić do smaku, włożyć łyżeczkę od herbaty cukru, sporą garść parmezanu, lub zielonego sera. Gdy beszamel zgęstnieje, pokryć nim grubo muszelki, posypać serem, zmieszonym z tartą bułeczką, i wstawić w gorący piec, aby się prędko zrumieniły. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca aby nie opadły. Zamiast muszelek można użyć tygielków.

## OMLET Z CYNADERKAMI.

Sześć żółtek ubijać w garnku, aż się dobrze złączą, dodać łyżeczkę soli i sześć białek, ubitych na sztywną pianę.

ostrożnie wymieszać, aby piana nie opadła. Przed przyrządzeniem tej masy na omlet należy przygotować nadzienie do niego. Dużą nerkę cielęcą, upieczoną wraz z pieczeniem, lub też ugotowaną w smaku na zupę, pokrajać wraz z otaczającym ją tłuszczem w wąskie paski. W rondelczku zasmażyć w łyżce masła drobno pokrajaną cebulę, wsypać łyżkę deserową mąki, wlać parę łyżek rosółu, łyżkę śmietany. Sos ten powinien być bardzo gęsty, można weń wsypać odrobinę białego pieprzu.

Włożyć cynaderkę, lecz tylko rozgrzać, nie gotując, wstawić do innego rondelka z wodą, aby się nie gotowało, a było gorące. Zaraz po włożeniu białek do omletu zrumienić sporą łyżkę masła na dużej patelni, wylać masę jajeczną, smażyć na wolnym ogniu, potrząsając patelnią, aby do dna nie przystawało. Gdy się od dołu zrumieni, a zgóry zacznie gęstnieć, położyć na środek przygotowane cynaderki. Brzegi z obu stron unieść zręcznie łopatką, zawinąć ku środkowi (mniejsze omlety składa się na połowę). Zsunąć zręcznie z patelni na półmisek, nie psując kształtu omletu, i natychmiast, gorący, podawać.

## POTRAWKA Z CIEŁĘCINY „JARDINIÈRE“.

Kilo cielęciny od mostka lub łopatki pokrajać na sześć równych, ładnych kawałków; zalać wodą, aby objęło, zagotować, zszumować, dodać marchewkę i pietruszkę, osolić, gotować, aż mięso nawpół zmięknie. W niklowym lub platerowanym rondelku zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić ostudzonym rosółem z cielęciny (aby nie było klusek). Kawałek brukwi (najlepiej białej), dwie rzepki, kilka bulw włoskich, lub salsefji, powykrawać łyżeczką od kartofli w ładne kulki, lub pokrajać w równą kostkę, ugotować oddzielnie w osolonej wodzie. Jarzyn tych powinno być około kilo. Do sosu włożyć łyżkę śmietany, wcisnąć sok z pół cytryny, wsypać zielonego koperku lub pietruszeczki, włożyć cielęciny, jarzynki, na koniec pokrajane w równą kostkę marchewkę i pietruszkę. Dusić jeszcze razem dziesięć minut na bardzo wolnym ogniu, potrząsając rondelkiem, aby do dna nie przystało. Podawać w tym samym rondelku.

## KREM ORZECHOWY.

Pięć deka orzechów włoskich, ważonych już bez lupinek, utłuc jaknajdrobniej lub dwa razy przepuścić przez maszynkę. Dwie szklanki słodkiej, kremowej lub młodej, kwaśnej śmietany ubić na pianę, dodać orzechy wraz z piętnastoma deka cukru-pudru, zmieszać dokładnie razem. Półtora deka żelatyny białej wymoczyć w zimnej wodzie, rozpuścić w dwóch łyżkach gorącej, zmieszać z kilku łyżkami kremu, potem z resztą i włożyć do formy opłókaną wodą i wysypaną cukrem. Wynieść na chłód. Gdy zastygnie, wyrzucić na półmisek i ubrać wokoło makaronikami, lub wiórkami migdałowymi. *Pani Elżbieta.*

## „HIGJENA KOBIETY”

Dr. Śmiarowskiej

jest niezbędną książką dla każdej z pań.

Cena 5 zł. 50 gr. Z przes. poczt. 6 zł. 50 gr.

Wysyła Tow. Wyd. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 9, po otrzymaniu należności.

250

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

# Nasza Mównica

**Spoleczna praca wśród polskiej rzeczywistości** (w odpowiedzi na artykuł p. H. Spoczyńskiej).

Wszelki dyletantyzm jest fatalny. Przez dyletantyzm wszelako nie rozumiem pracy niefachowca, ani tembardziej pracy bezpłatnej wogóle.

Może w społeczeństwach o wysokiej i szerokiej kulturze, gdzie każdy, kto chce się kształcić, ma możliwość zdobycia wykształcenia fachowego, brak jego oznacza ściśle bądź ubóstwo, bądź lenistwo umysłowe przyrodzone, co już dyskwalifikuje danego osobnika do każdej wyższej kategorii pracy, a przedewszystkiem do pracy społecznej.

U nas brak możliwości wykazania się „na papierze“ ze zdobyczą fachowej wiedzy w pewnych dziedzinach nie jest bynajmniej jednoznaczny ani z ignorancją w danym zakresie wiedzy, ani z brakiem ogólnych, czy szczególnych uzdolnień. Zatem sędzę, że ludzie, którzy nie ukończyli kursów społecznych, niekoniecznie przez to powinni być od wszelkiej społecznej pracy oddaleni, jako szkodliwi dyletanci. Poza wiedzą, którą najłatwiej zdobywa się bezsprzecznie w odpowiednich uczelniach, ale którą często i poza nimi zdobyć można, jest jeszcze wewnętrzne uzdolnienie, potocznie mówiąc, „dryg“ do danej pracy, to właśnie, co sprawia, że tam jednemu sztybla goła, gdzie drugiemu brzytwy nie chcą. Ten „nervus rerum“, wrodzony raczej, niż zdobyty, nie uwalnia, rzecz prosta, tak obdarowanego przez naturę od kłopotliwości zdobywania i wiedzy, ale to jest właśnie, co gwarantuje owocne tej wiedzy na danym polu stosowanie. I bez owego „drygu“, ośmielam się twierdzić, nie gwarantują tego ani dyplomy, ani wiedza, choćby najgłębsza.

Przynajmy zatem, że obowiązek dobrej pracy jest pierwszym warunkiem wszędzie, ale gdy chodzi o pracę społeczną bezinteresowną, nie odsuwajmy od niej niedyplomowanych niefachowców, nie powstrzymując się jednak od surowej krytyki, gdzie na to zasługują niewczesne ambicje, warcholstwo, czy nieróbstwo lub niewiedza nawet bezinteresownych pracowników. Że takie piętnowanie da w ręce przeciwnikom społecznej pracy kobiet broń przeciwko tejże pracy w ogólności, trudno! Znajdziemy przeciw tej bronii broń; nie wyrzekajmy się jednak rozumnej i życzliwej krytyki, odsiewającej plewy od ziarna, bo powrócilibyśmy do zasad ś. p. „galanterji“, która nie pozwalała o kobiecie, jako takiej wogóle, wydać ujemnego sądu, robiąc z niej coś w rodzaju nieboszczyka, o którym mówi się dobrze, albo nie mówi się wcale.

Czasy są u nas powojenne, czasy o tak bajecznym nadmiarze rzeczy do zrobienia i... do odrobienia,

że nie należy rzucać belek pod nogi tych, którzy mają dobrą wolę i którzy tak często potrafili i potrafią wstępny bojem zdobyć sobie to, czego im brak z systematycznego przygotowania w danej dziedzinie.

Krytyka, właśnie sprawiedliwa i rzeczowa krytyka i ocena pracy niech eliminuje partactwo, niech piętnuje nawet i bezinteresownych nierobów, odzierając ich ze splendoru działaczy; ale nie możemy dziś wzgardzić entuzjazmem, zamiłowaniem, dobrą wolą ludzi, nieprzygotowanych fachowo do danej pracy społecznej, ale zdobywających sobie wśród tejże pracy potrzebną wiedzę teoretyczną i praktyczną, tak jak nie pogardziliśmy na polach bitew zastępem śpieszących walczyć o niepodległość wolontariuszów, choć szli na front bez wyszkolenia, zwyciężając, ginąc jednak po bohatersku.

My, którzy jeszcze mamy za mało szkół, za mało środków, za nową maszynę państwową i za skąpy zastęp rutynowanych pracowników, nie możemy na tych wykwalifikowanych i doświadczonych budowniczych bytu narodowego czekać; musimy jeszcze szereg lat radzić sobie zapomocą tego entuzjazmu, który obudził się, wybuchnął i trwać powinien jeszcze i jeszcze, bo inaczej nie poradzimy.

Nie mniej jednak dążnością tych, co wiedzą, powinno być wskazywanie drogi, kaprałowanie nowozaciężnym rekrutom społecznej pracy, kierowanie za pału i dobrej woli we właściwe koryto.

Świeży, żywy mamy w pamięci dowód, czego dokonać, co przewyciężyć może ta potęga. Z czasem, pewnie, ustąpić ona musi spokojowi codzienności i ładu, ale dziś jeszcze jest na miejscu, jest czynnikiem dodatnim i koniecznym: jest naszą drugą młodością odrodzenia.

Pani H. Spoczyńska mówi o pożytku przykładu, oddziaływania bezpośredniego, budzenia sił moralnych: do tego trzeba właśnie w pracy miłośników, zapaleńców, entuzjastów.

A i metoda wykładu, jako jedna z równoległe użytych, też nie jest tak beznadziejnie jałowa, jak się może wydawać. Słowo, to też potęga w umiających niem się posługiwać ustach! Drzemający na kazaniach, dzieci przy wiecznie zrzędzących wychowawcach, oczywiście, nie słuchają i nie słyszą; ale obok tych są i inni, którzy „mają uszy ku słuchaniu...“, do których można trafić, najpierw słowem, a następnie zadzierżnąć z nimi kontakt wymienny, wciągając do współpracy.

Tymczasem jeszcze, sędzę, era rozważnego i nadzbyt systematycznego pozytywizmu w społecznej pracy nie nadeszła, musi trwać rozmach młodzieńczego tworzenia, potęga mierzenia siły na zamiary.

M. Benislarska.

**Każda praca przynosi pożytek** (w odpowiedzi  
p. Łucji Mościckiej.)

Czytając w „Mównicy“ artykuły Sz. Pani, zwykle z Nią się zgadzam, ale tym razem, gdy Sz. Pani odradza całemu szeregowi kobiet poświęcenia zbywających godzin na rzecz ogółu, wskazując zajęcie się tylko pogłębianiem siebie, uważam, że takie ujmowanie sprawy podważyłoby wszystkie poważne instytucje o charakterze społecznym, jak: Krople Mleka, Służby Obywatelskie, Koła Kobiet, Czerwone Krzyże i dziesiątki podobnych. Bo, przedewszystkiem kobieta, która ofiarowuje godzinę, czy dwie tygodniowo na posiedzenie, dyżury czy zebranie, robi to nie z łaski, a z własnej nieprzymuszonej woli i wewnętrznej potrzeby serca, czy ideologii.

Tu niepodobna jest nikogo zmusić i tylko ocena własnych zdolności, chęci ruchu, zainteresowań, kieruje pewne osoby do wyładowania się nazewnątrż w postaci pracy społecznej.

Może w tem wszystkiem jest poczucie wyższej wartości i odpowiedzialności na niedole tego padółu łez. W każdym razie wyjście kobiety z domu, aby obcym czynić dobrze, jest odruchem bardzo szlachetnym.

Owszem, istnieje też praca pseudo-społeczna, jak owe komitety uroczystościowe z oddawaniem wykonania programu... młodzieży, ale też jest cały szereg ognisk, prawdziwych kuźni dorobku społecznego.

Proszę Pani, żebyśmy się starali jaknajlepiej wykonywać swoją pracę zawodową, to i tak bolączek społecznych nie zagoimy! „Nie da rady“. Bo, przypuśćmy, że jestem dobrą matką, znam się na higienie, wychowaniu, dzieci mam naogół zdrowe; aż tu przynosi jedno z nich polecenie od lekarza szkolnego do sekcji walki z gruźlicą, aby zbadać stan podejrzanego dziecka. Nie jestem przygotowana na taki wydatek, jak lekarz, więc zmartwienie, nowy ciężar. Ale jest grono ludzi dobrej woli, którzy utworzyli „Towarzystwo przeciwgruźlicze“ i tam, za drobne pieniądze, zbadają mi dziecko, poradzą, co robić.

Dlatego, że garść ludzi stwarza daną placówkę społeczną, nie znaczy, iż biorą się do niej dyletanci; owszem, jeśli potrzeba wychowawczyni, lekarza, pielęgniarki, czy rolnika, angażują siły fachowe płatne, ale inicjatywa, finansowanie, ideowy kierunek spoczywają w rękach pań, mających tę godzinę zbyteczną i chcących ją poświęcić pracy dla dobra ogółu.

Zapewne, że nawet praca społeczna wymaga fachowości, no, ale po paru latach przychodzi doświadczenie i wszystko jest w porządku.

Przypominam sobie, jeszcze przed wojną, obraiano kiedyś w towarzystwie „zwarjowany typ społeczniczy“, co to: obowiązkowo potargana, na przepisowo krzywych obcasach, a torebka wyładowana, niczem walizka komiwojażera; rzeczywiście, to mogło być nieznośne, ale dzisiaj te rzeczy o wiele ładniej wyglądają.

W Czerwonym Krzyżu, czy Kropli Mleka, pracuje moc pań bezinteresownie, przy wielu osobach fachowych, płatnych. Współpraca ta ma dwojakie czyn-

niki: inicjatywę zrzeszonych i placówki dla sił fachowych.

Ostatecznie więc, owe godziny zbywające, ofiarowane społeczeństwu, są podstawą do oceny wartości jednostek, jak i całego ogółu, i przeoczyć istotnych ich wartości nie należy.

Łodzianka.

**Kiedy będziemy solidarne?**

„Hej! ramię do ramienia! Zgodnemi łańcuchy...“ píše Wieszczy w „Odzie do młodości“. Słowa Mickiewicza są nieśmiertelne i winny służyć kobietom-polkom, jako hasło ich poczynań. Niestety, całkiem inaczej przedstawiają się rzeczy w świecie niewieścim. Zamiast jedności, kobiety polskie rozpraszają się na różne koła i kółeczka, osłabiając tem samem swoje wielkie posłannictwo.

Dam bardzo prymitywny przykład. Na terenie naszego miasta istnieją dwie organizacje kobiece, a mianowicie: Zw. Pracy Obywatelskiej i Narodowa Organizacja Kobiet. Organizacje mają wspólne hasła, o ile chodzi o pracę społeczną. Bardzo pięknie, że się zrzeszamy, jest to naszym świętym obowiązkiem, ale nie staczajmy równocześnie walki między sobą. Uważam, że nie przeszkadza jedno drugiemu, gdy pani X należy do N. O. K., a pani Y do Zw. Pr. Ob.; nie powinno to być powodem niesnasek, krytyki i nieporozumień, jak to, niestety, ma u nas miejsce. Przeciwnie: wspólnie należałoby obmyślać prace, porozumiewać się w zamierzeniach, dzielić się raczej robotą, której jest tak dużo, aby uniknąć spotkania się na terenach identycznych czynów. Może się wytworzyć wówczas współzawodnictwo, wyścig pracy, ale nigdy niechęć. Dzieje się jednak inaczej. Gdy jedna organizacja urządza jakąś imprezę, z której dochód obraca na obmyślaną z góry cel, i prosi członkinie drugiej o współudział w przedstawieniu, lub raucie, spotyka się z odmową, ponieważ to inny obóz. Naturalnie, że wytwarzają się niezdrowe fermenty.

Widzimy cały szereg organizacyj męskich. Różnią się one w większości wypadków zapatrywaniami politycznymi, mogą między sobą polemizować, lecz gdy chodzi o czyn pro publico bono, stają zwykle razem. Brakiem solidarności, brakiem wzajemnego porozumienia narażamy się tylko na śmieszność i drwiny. A trudno temu zaprzeczyć i prawdzie należy prosto spojrzeć w oczy. Czybyśmy jeszcze nie dorosły? Czyny społeczne nie znoszą obozów i nie wolno nam ich wytwarzać. Może być tylko współzawodnictwo pracy, zyska na tem całe społeczeństwo, a my unikniemy drwin.

Stale obija mi się o uszy zdanie „organizacja, to niewola“. Słusznie, bo gdy się swej członkini zabrania tego, lub owego, a ona jest już człowiekiem dorosłym i winna mieć swoje indywidualne zapatrywania, to istotnie, zamiast pracownika, ma się niewolnika, legitymującego się ze swych czynów, jak w pensjonacie wychowawczym. Organizacja nie może zabijać indywidualności, a raczej wzniosłemi hasłami i czynami winna ją umacniać, jednostki nieuspołecznione uczyć służyć dobru publicznemu.

Pola Parolowska — Krasnystaro.